№ 51. Warszawa, dnia 22 (10) Grudnia 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

OD REDAKCYI.

Pismo nasze w roku przyszłym poniesie dotychczasowy swój sztandar: prawdy, uczciwości, swobody przekonań i troski o te skarby, które stanowią nasz dorobek cywilizacyjny, oraz o te czynniki i siły, które życiu naszemu zapewniają bezpieczeństwo i rozwój.

Niezależnie od starań naszych w podnoszeniu treści pisma, jego **dodatek bezpłatny** będzie znacznie powiększony. Resztę tomu IV **Główne prądy literatury XIX stulecia** podzielimy w zwiększonych zeszytach na trzy części, tak że starsi abonenci nasi w czerwcu mieć będą całe dzieło Brandesa. Miarą jego wartości jest fakt, że zostało ono przed ukończeniem prawie wyczerpane. Na drugie półrocze roku przyszłego i pierwsze następnego w dodatku bezpłatnym wydamy:

EKONOMIĘ SPOŁECZNĄ

spolszczoną według świeżej zbiorowej pracy kilkudziesięciu znakomitych uczonych niemieckich. Książka ta obejmie około 400 stronic wielkiej ósemki i stanowić będzie gruntowny podręcznik, jakiego literatura nasza dotąd nie posiada. W handlu księgarskim kosztować ona będzie rs. 2 kop. 50.

Dla ułatwienia nowoprzybywającym abonentom nabycia początku tomu IV (stanowiącego zamkniętą w sobie całość) dzieła Brandesa, zniżamy dla nich cenę dwu zeszytów początkowych (z dwu ostatnich kwartałów) z rs. **1** na kop. **50**.

Przypominamy, jak zwykle, że jedynie wczesne nadsyłanie przedpłaty do Administracyi naszej zapobiega opóźnieniom w wysyłce lub brakom w odbiorze **Prawdy**.

DWA HASŁA.

Niedawno zapisaliśmy na tem miejscu pobudkę, którą jeden z posłów galicyjskich dał Kołu polskiemu w Wiedniu, wyrażając nadzieję, że ono potoczy się wreszcie w kierunku interesów kraju. Ogólna cisza, brak materyału do snucia „polityki wielkiej," sypiące się ze wszech stron zapewnienia o „przyjaznych stosunkach międzynarodowych" pozwalały mniemać, że głos ten nie przebrzmi daremnie w galicyjskiej puszczy. Pierwszą sprawą, która nadarzała sposobność do czynu, była tak długo popierana decentralizacya dróg żelaznych, wydarcie Wiedniowi ich zarządu dla Lwowa. Zdawało się, że na tym punkcie Koło nie ustąpi i że w uporze swoim nie dojrzy niebezpieczeństwa ani dla ministrów-rodaków, ani dla monarchii austryackiej. Tymczasem... jak donosi korespondent *Dziennika Poznańskiego*, Koło trwa w swem życzeniu decentralizacyi kolejowej, ale nie myśli bynajmniej gniewać się na rząd, jeśli ten mu figę pokaże*). To się nazywa „chodzenie koło interesów kraju." Jeżeli kiedy w Europie zabraknie ludzi lojalnych, wszystkie państwa powinnyby na rozpłód tego gatunku sprowadzać ich sobie z Galicyi. I są gazety, które głoszą, że tam się gnieździ rewolucya! Zabawne posądzenie! Rząd austryacki opróżnił już rewolucyonistom z nad Wisły i Sanu kieszenie, obdarł ich tak, że niedługo ledwie będą mieli czem przepasać swą wstydliwość; pozwala im wprawdzie śpiewać narodowe pieśni, ale nie słucha wcale ich narzekań, a jeśli kiedy osądzi, że przyrodzona skóra jest dla nich zbytkiem i powinna być użyta na buty państwowe, Koło polskie wcale temu nie zaprzeczy. I to jest według p. Pindtera i Pichny — „burzliwy żywioł!" A któż jest spokojnym?

*) Taż sama gazeta donosi, że koło znowu stwardziało (*Red.*).

Ale zastanówmy się bez ironii. Konserwatyzm polski wydał hasło: starajmy się być; liberalizm dopełnił je: starajmy się być silni materyalnie i duchowo. Dotąd marsz odbywa się według pierwszej komendy, a jakkolwiek ona rzeczywiście ubezpiecza walczących, do żadnego zwycięstwa ich nie prowadzi. Gdyby spełniły się najlepsze nadzieje stańczykowsko-zachowawczego sztabu, za lat sto Galicya byłaby polską, obdarowaną samorządem i może wpływową na losy monarchii austryackiej, ale biedną i ciemną, zrujnowaną ekonomicznie i przytępioną umysłowo. Organizmy zaś tego rodzaju mogą się trzymać tylko siłą pomyślnego zbiegu wypadków, nigdy zaś swoją własną mocą, którą nieprzyjazne warunki zdolne są osłabić, ale niezdolne zniszczyć. Czy wiele potrzeba, ażeby Bulgarya lub Rumunia straciły nawet swe osobne barwy na mapie Europy? Innemi słowy: czy wiele potrzeba, ażeby naród, który, dzięki pomyślnym okolicznościom wynurzył się na wierzch, pod naciskiem innych zatonął? Podobnie Galicya, wisząca niemal na włosku względów Taaffego i jego gabinetu. Niepotrzeba żadnej wojny, żadnej burzy, wystarczy samo zdobycie steru przez centralistów niemieckich, ażeby — mówiąc językiem humorystyki — Golicya i Głodomorya znalazły się na szarym końcu przy stole ludów Austryi, a nawet żeby były ich służebnicami.

Bezpieczna przyszłość nie zależy naturalnie ani od decentralizacyi kolejowej, ani od żadnego praktycznego zysku, ale od szeregu zdobyczy, od systematu polityki, skierowanej przedewszystkiem ku dobru kraju. P. Dunajewski może bardzo „pięknie" gospodarować finansami monarchii i sprawiać „głębokie wrażenie" swemi mowami budżetowemi, inny minister-rodak może istotnie cieszyć się łaską arcyksiężniczki i podawać jej strzemię przy wsiadaniu na konia, ale to wszystko jeszcze nie karmi głodnych, nie odziewa nagich, nie oświeca ciemnych, nie stwarza dobrobytu i kultury.

Póki więc czas trzeba hasło zachowawcze dopełnić postępowem.

REFORMA SĄDOWA

w guberniach litewsko - białoruskich.

Cztery gubernie litewsko - białoruskie najdłużej oczekiwały na zaprowadzenie zreformowanych sądów. Zapewne jest to nowy krok na drodze zespolenia tak zwanego Zachodniego kraju z Cesarstwem: najprzód wprowadzono samorząd miejski, później sędziów honorowych, wyznaczonych z grona miejscowych obywateli, teraz wreszcie sądy z przysięgłymi; dla zupełnego zrównania w prawach i przywilejach brak jeszcze ziemstw, co jednak postawionem jest w zależności od liczebnego stosunku obywateli polskiego pochodzenia i posiadanej przez nich ziemi. Nie wynika jednak z tego wcale, żeby gubernie litewskie, co do usposobień, różniły się od południowo-zachodnich, w których nowe sądy działają już od lat paru; owszem, przy mianowaniu marszałków szlachty i sędziów honorowych pierwsze znajdowały się nawet w szczęśliwszem położeniu, bo żywioł miejscowy był w nich w większym stopniu uwzględniony. Opóźnienie nastąpiło głównie z wymagań oszczędności budżetowej, co wyraźnie przez władzę było zaznaczonem; szukać więc innych przyczyn nie potrzeba. Nawet w ostatniej chwili z tych pobudek odłożono utworzenie izby sądowej w Smoleńsku, skutkiem czego gubernia mińska zaliczoną została do okręgu wileńskiego, a witebska, która miała doń należeć, pozostała w petersburskim. Prawdopodobnie również z tych powodów otworzono w każdej gubernii tylko jeden sąd okręgowy, chociaż tę ilość z uwagi na przestrzeń i liczbę ludności uważać można za niedostateczną, czemu w części postarano się zaradzić zwiększeniem osobistego składu.

Pomijamy opis uroczystości, towarzyszących otwarciu nowych instytucyj i postaramy się tylko określić ich znaczenie dla prowincyi, w której działać będą.

Dotychczas w guberniach tych istniały stare t. z. *połączone izby sądu cywilnego i karnego* (sojediniennyja pałaty) z procedurą sekretną i piśmienną, z całym aparatem biurokratycznym, bez żadnego udziału miejscowej ludności. Obecnie wprowadzone zostają sądy okręgowe z instancyą apelacyjną—izbą sądową wileńską. Od funkcyonujących w Królestwie różnią się tem, że w ważniejszych sprawach karnych o winie oskarżonego decydować będą przysięgli. Przysięgłym może być każdy, bez różnicy stanu, wyznania i narodowości, kto skończył 25 lat wieku i nie był pozbawiony sądownie praw cywilnych. Pewne ograniczenie dotyczy przysięgłych wyznania mojżeszowego: liczba ich winna być sprowadzoną do minimum, a na każdem posiedzeniu stanowić mogą tylko trzecią część kompletu. Od wyrokowania w przestępstwach religijnych są bezwarunkowo usunięci. Listę przysięgłych układają komisye, złożone z przedstawicieli administracyi wraz z powołanymi umyślnie obywatelami miejscowymi.

Udział w wymiarze sprawiedliwości, zapewniony społeczeństwu przez ustawy, jest nader cennem prawem a jednocześnie obowiązkiem, którego lekceważyć nie wolno. W kraju południowo-zachodnim włościanie pomimo ciężaru, jaki obowiązek ten dla nich stanowi (przysięgli nie otrzymują żadnego wynagrodzenia), spełniają go sumiennie; o inteligencyi, niestety, nie zawsze to samo da się powiedzieć. Wielu obywateli ziemskich usuwa się od udziału, już to ze względu na koszta, już to na stratę czasu, albo—inne przyczyny. Życzyć należy, żeby objaw ten nie powtórzył się na Litwie.

Niektóre gazety rosyjskie, podniosły niedawno straszny krzyk, że polakom przeważnie pooddawano posady w nowych sądach. Obawa ich okazała się najzupełniej płonną, gdyż w liście nowomianowanych urzędników znajdujemy zaledwie kilka nazwisk z brzmieniem polskiem. Owszem, korespondent *Gazety Polskiej* donosi wręcz przeciwnie, że nawet na posady notaryuszów wielu kandydatów miejscowych, pomimo odpowiednich kwalifikacyj naukowych, nie otrzymało wcale zatwierdzenia. Większą też część osobistego składu sądów stanowią przeniesieni z innych okręgów w Cesarstwie, przeważnie zaś z kijowskiego, gdzie istnieją pokrewne stosunki; tylko niewielu, zajmujących wyższe stanowiska w starych *izbach*, utrzymało się przy nowej organizacyi, co zresztą było koniecznem z uwagi na mnóstwo spraw zaległych i obeznanie z nimi nowych członków. Zresztą, jakikolwiek jest skład instytucyj, spodziewać się należy, że w myśl prawodawcy nowy sąd będzie — *sprawiedliwy i równy dla wszystkich*.

Wykształceni prawnicy, którzy nie pozyskali miejsc w sądownictwie, znajdą dziś obszerne pole dla swej działalności w adwokaturze. Plaga pokątnego doradztwa trapi litewskie gubernie bardziej może, niż nas. Stare sądy nie znały właściwie obrony, działalność więc adwokatów redukowała się do pisania próśb, udzielania porady i pośredniczenia bądź to między stronami, bądź między stroną i sądem. Procedura ta dawała liczne sposobności do nadużyć. Wytworzyła się cała klasa ludzi bez nauki, bez żadnych zasad moralnych, zdolnych jedynie do wykrętów prawnych. Przypływ nowych inteligentnych sił odświeży niezawodnie tę stęchłą atmosferę i dostarczy miastom prowincyonalnym zasobu sił umysłowych.

Przy procedurze ustnej i jawnej wystąpi prawdopodobnie na światło dzienne sprawa języka litewskiego. Niedawno właśnie poruszyło ją *Nowoje Wremia*, oświadczając się

PRZED OBRAZEM.

Jakieś fatum stało, czy leżało między mną a galeryą obrazów w D. Od tygodnia bawiłem w tem arcynudnem mieście, gdzie dnie skracają się jedynie śniadaniem i obiadem, a o dziesiątej każdy śpi już snem litewskiego gospodarza, chociaż się znajduje w samem sercu Europy. Pomimo braku rozmaitości i nudy, wiejącej z każdego komina, do galeryi nie wybrałem się: to jest, wybierałem się, szedłem nawet, ale zawsze w połowie dobrej drogi ktoś mię na złą skierował. Przed wyjazdem, gdy już rzeczy miałem ułożone i paszport w kieszeni, wyszedłem z silnem postanowieniem zwiedzenia przybytku muz. Kiedy stanąłem u celu, lżej mi się zrobiło; będę mógł powiedzieć: wiedziałem! Pod karą śmierci nie odróżniłbym z drugiego pokoju skrzypiec od wiolonczeli, w malarstwie zaś zdolny jestem do większych jeszcze omyłek. Krajobraz poprostu mię irytuje! Na widok obrazu, przedstawiającego parę morgów pszennej gleby, las, góry, rzeki a cz to nawet most i młyn, jako porównanie staje mi w myśli przestrzeń, którą na kasztanku ledwie w godzinę objechać mogę; odchodzę zniechęcony od tej malowanej prawdy! Portrety jeszcze mają racyę bytu, rozumie się, robione za młodu; później gdy człek odwyknie od zwierciadła, widok młodości dodaje otuchy.

Zdobyłem sobie katalog, w którym znajomy mój artysta-amator popodkreślał wszystkie arcydzieła; a było to jedyne moje przygotowanie artystyczne, w jakie się uzbroiłem. Na pierwszym wstępie zachwyciła mię wielka czystość. Bodaj to niemcy—pomyślałem i z prawdziwą przyjemnością przyglądałem się, jak moje buty i część spodni odbijały się w posadzce, niby w zwierciedle. Nie zauważyłem nawet, jak minąłem pierwszą salę. W drugiej za to rozpocząłem akuratną pielgrzymkę. Równocześnie ze mną wszedł łysy staruszek, przygarbiony, w złotych okularach, woniejący paczulą i jakimś proszkiem, używanym do przesypywania futer na zimę. Z rękami założonemi za plecy, z wyciągniętą szyją chodził drobnymi krokami, cicho, ostrożnie, niby widmo, zjawiał się za memi plecami, albo obok, uśmiechał się złośliwie, przygryzał wąskie usta. W dwóch palcach trzymał wciąż szczyptę tabaki; od czasu do czasu podnosił ładunek do nosa, a spożyty wnet zastępował nowym zapasem, czerpanym z bardzo kosztownej tabakiereczki. Proces ten odbywał się machinalnie, cała zaś uwaga staruszka skupioną była na arcydziełach. Mrużył oczy, przechylał głowę, zachodził ze wszystkich stron, często nawet pomrukiwał. Z tych wszystkich manewrów wnioskowałem, że musiał być znawcą nielada. Zacząłem tedy zatrzymywać się dłużej obok niego; nie miał nic przeciw temu, owszem, parę razy ustąpił mi miejsca, ruchem ręki wskazał wybitniejsze części obrazu i wnet spoglądał na mnie z pod okularów, jakby się chciał przekonać, czy pojąłem, czy oceniłem. Specyalnością jego musiała być mitologia: wszelkim boginiom przyglądał się ze szczególniejszem skupieniem, klasyczna nagość miała w nim niezrównanego znawcę: *C' est magnifique! de toute beauté*! itd., pomrukiwał przed modelami z Parnasu.

Wobec Ledy zdrętwiał; tak przynajmniej sądziłem, gdy obszedłszy salę, zastałem go jeszcze na tem samem miejscu w głębokim zachwycie. Oczy rozszerzyły się znacznie, szczypta tabaki, wymknąwszy się cichaczem z palców, pokryła zielonym pyłkiem tylne poły surduta. Nie jestem znawcą, ani amatorem; jeżeliby wszakże obraz zdołał przykuć tak dalece moją uwagę, gdybym miał taki sygnet z brylantem i takie prawdziwie pańskie urządzenie całej osoby, jak ów staruszek, to już co robić! zryzykowałbym! Miło być musi mieć na własność rzecz, przypadającą tak bardzo do smaku i upodobania!

Widok tylu arcydzieł nieraz zaczynał już nużyć moją natężoną uwagę; byłem nawet gotów do rejterady, gdy wśród kopiujących spostrzegłem młodego człowieka, którego twarz i postawa zajęły mię stokroć więcej, niż wszystko, co tu dotąd widziałem. Oddalony od reszty towarzyszy i towarzyszek stał w rogu sali nieruchomy, niby piękny posąg; przed nim, na staludze — kopia. Skończył przed chwilą zapewne, a teraz ustawiwszy w należytem świetle, przyglądał się, porównywał z oryginałem.

za zniesieniem wielu bezużytecznych ograniczeń i wprowadzeniem nauki tego języka w szkołach. Wychodząc z zasady: *je prends mon bien où je le trouve* przyłączamy się całem sercem do słusznych w tym razie zapatrywań rosyjskiej gazety, chociaż nie podzielamy jej punktu wyjścia. Nowe sądy dostarczą jej argumentom poważnych dowodów.

W końcu zaznaczamy jeszcze, że sędziowie pokoju honorowi mogą brać udział w posiedzeniach sądu okręgowego, jeżeli brakuje członka do kompletu.

Taka jest w głównych rysach postać reformy; naturalnie od ducha, jaki ją ożywi, zależeć będzie jej znaczenie.

P.

Państwo i prawo.

Znana to rzecz, że najdłużej się mozoli umysł człowieka, zanim pozna dokładnie rzeczy, najbliżej go otaczające i najbardziej obchodzące. Krążenie ciał niebieskich odkryto o kilka wieków przed znajomością krążenia krwi w organizmie naszym. Tak samo liczne zjawiska w dziedzinie umysłowej, moralnej i politycznej od dawna zgłębiono i zbadano; ale dotąd zdrowy i trzeźwy rozum, jeżeli u wszystkich filozofij i nauk szuka odpowiedzi na pytanie: czem jest państwo?—nieznajduje zadawalającego rozstrzygnięcia. Bo jakżeż można poprzestać na objaśnieniu takiem, jak np: że państwo jest *stowarzyszeniem*, założonem w celu wzajemnego zabezpieczenia praw i wykonywania sprawiedliwości; albo na takich frazesach: że państwo jest „organizmem moralnym" (Stahl) albo, co jeszcze gorzej, „organizmem naturalnym" (Bluntschli)? Są to gadaniny, które nie trafiają w sedno rzeczy; owem sednem zaś jest to, że w państwie jedni drugich trzymają w poddaństwie i że ono właśnie stanowi organizacyę, która umożliwia, ustala i *uprawnia* tę zawisłość jednych od drugich i to *panowanie* jednych nad drugimi. Tej rzeczy, tak prostej, tak namacalnej na każdym kroku, co więcej, tak nam dającej się czuć, tak nas zewsząd otaczającej—politycy i statyści jak gdyby nie wiedzieli lub też wiedzieć nie chcieli. Bo prawili o wszystkich innych szczegółach: o formach, o rządach, o celach państwa itd. tylko o tym jego rdzeniu zachowali jakby umówione milczenie.

A jednak poznanie owego rdzenia jest ważnym krokiem ku wszechstronnemu zbadaniu państwa jako *zjawiska przyrodniczego*. Bo i temu przecież dziś nikt nie uwierzy, że państwa pozakładane zostały przez jakichś bezinteresownych dobrodziejów ludzkości „w celu" uszczęśliwienia ogółu, wymierzania mu sprawiedliwości etc. Tylo dzisiaj zawdzięczamy postępom przyrodoznawstwa, że, jeżeli wszędzie i zawsze widzimy powstające państwa, tak samo jak po całym świecie widzimy mrowiska lub ule, to przyczyny tych zjawisk *społecznych* nie szukamy w „wolnej woli" lub kaprysie jednostek, ale w pewnych wszędzie i zawsze z równą siłą działających popędach socyalnych.

Chcąc zaś poznać prawdziwą istotę tych popędów, czy też prądów, będących przyczyną powstawania państw, albo innemi słowy: chcąc poznać owe *prawa naturalne*, rządzące w sferze społecznej i prowadzące zawsze i wszędzie do takiego ustroju, musimy bez uprzedzeń, bez doktryn i teoryj z góry powziętych, badać państwo tak, jak ono nam się przedstawia, bądź w rzeczywistości, bądź w przebiegu dziejów.

Zabierając się do tego badania, na samym wstępie znowu spostrzegamy, żenam teoretycy i filozofowie zwichnęli zupełnie pojęcie o *powstaniu*, a następnie o *składzie* społecznym państwa; że panujące o jednem i drugiem wyobrażenia są z gruntu fałszywe, bo ani zhistoryą, ani z rzeczywistością niezgodne.

Powstanie państwa tłomaczą nam oni, jakby założenie towarzystwa akcyjnego, gdzie członkowie schodzą się i wybierają radę nadzorczą i dyrektora. Z takiej *umowy społecznej* wyprowadzają następnie wnioski, jakie „powinny być" instytucye polityczne itd.

Że zaś państwo składa się z pewnej ilości „równych i wolnych obywateli," o tem żaden z teoretyków dzisiejszych nie wątpi: fakt zaś, że takiego składu państwa nie widzimy *nigdzie* ani w przebiegu dziejów, ani dzisiaj w żadnym zakątku świata, wcale ich nie obchodzi. Bo to wszystko jest tylko „spaczeniem" ideału i prawdy: te zaś pierwotwory niezepsute państw istnieją — w ich wyobraźni.

Szczęściem i nauka polityczna, przeszczepiona na grunt metody indukcyjnej przyrodoznawstwa, wyrasta obecnie po nad poziom tych starych banialuk, a zaczyna w niej już to tylko uchodzić za prawdę, co się da stwierdzić w dziejach lub w rzeczywistości.

Tak stwierdzić jednak da się tylko powstanie państw za pomocą *podboju*, koniecznem następstwem zaś takiego powstania państw był zawsze i wszędzie skład ich z zaborców i podbitych, a więc z panujących i opanowanych, rządzących i rządzonych. „A gdzież prawo? wszak to czysty gwałt! Takim sposobem państwo nie stoi na gruncie prawnym! Czy podobna teorya nie jest podkopaniem wszelkiego prawa?" Takie słyszę zarzuty.

Ale proszę zważyć. Że gwałt stwarza państwo, wcale to nie przeszkadza, aby państwo stworzyło prawo. Owszem — widzimy to wszędzie i zawsze. Dziś zdobywca mieczem i ogniem zagarnął obce obszary i wtłoczył w jarzmo obcą ludność: jutro ogłasza *ustawy*, stanowi *kary* za naruszenie własności itd. Tak zawsze było — tak jest i tak będzie.

I tak musi być — to rzecz prosta. Zdobytego rządzenia zaś nie można lepiej utrzymać, jak *prawem* — t.j. ogółem tych ustanowień, które zaprowadzają ład w rządzeniu ludem.

Że zaś prawo nie jest niczem innem, jak zbiorem tych ustanowień, wydanych w interesie rządzenia, jest to prawda, której poznanie utrudniała nam jego „filozofia." Ta bowiem z istniejących ustaw wygotowała sobie pewną „ideę prawa," którą przedstawiała jako odwieczny, w umyśle ludzkim spoczywający pierwowzór i pierwiastek wszelkiego prawa, służący za model wszystkim ustawom.

Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Rzeczywistość, potrzeby społeczne, stosunki państwowe doprowadziły do pewnych ustaw prawnych, a z tych dopiero wyrobiła się w głowach naszych pewna *idea* pra-

---

Był jeszcze bardzo młody; wysoki, barczysty, widocznie przeznaczony od natury na atletę. Chłodne poranki wiosenne musiały zwarzyć roślinę wybujałą przed czasem, pierś miał wklęsłą, policzki zwiędłe; w oczach tylko błyszczała młodość i siła, cała dusza malarza. Odziany w czarny kamlotowy surducik, bez śladu bielizny w koło rąk i szyi, wyglądał bardzo ubogo. W ręku trzymał jeszcze pędzel, chwilami pochylał się naprzód, podnosił rękę, to znów odstępował, ręka opadała, a oczy niby przyrosły do kopii. Uśmiechnął się, twarz zajaśniała tryumfem. Pędzel rzucił na taboret. Przezwyciężył trudność techniczną, czy może schwycił cień, rys, coś takiego, co się ująć nie daje, a o co rozbija się nieraz kamienna wytrwałość artysty. Wpatrywałem się w niego i nie ręczę, czy nie naśladowałem jego mimiki i ruchów. Zbliżywszy się, stanąłem mu za plecami.

Wykończona kopia była właśnie jednym z tych krajobrazów, które mię najwięcej irytują. Na półtora łokciowej przestrzeni obszar, porosły śliczną runią, jaką bodajbyśmy co rok w naturze oglądali; kawał lasu, za któryby nawet Berek Głębocki parę tysięcy nie pożałował, dalej chata, czy dworek, z dachem przez wiatr potarganym, na płocie przed chatą bładysze, dojniec, kilka ścierek czy płatków do cedzenia — ot i wszystko. Żeby jeszcze przez jedno z malutkich okienek wyjrzał żyd arendarz, a przede drzwi zapędzić parę kóz i kilka chłopskich furmanek, obrazek byłby żywcem schwycony z Litwy, gdzie każda pojedyncza chata przy drodze, pod jakąkolwiek firmą istnieje, w gruncie rzeczy zawsze karczmą być musi. Odstąpiłem krok jeden, poprawiłem binokle.

— Niech mię dyabli porwą, jeżeli to nie Litwa! — mruknąłem z całą swobodą wołającego na puszczy, pewny, że głos mój chociaż usłyszany, zrozumiany nie będzie.

Artysta drgnął; obrzucił mię wzrokiem od stóp do głowy. Ugryzłem się w język, nie należało przemawiać tak zaściankowym stylem w europejskiej świątyni. A malarz wciąż patrzał na mnie, wyraz twarzy miał ostry, spojrzenie ponure, poruszył parę razy ustami, jakby się wahał, czy ma przemówić.

— Pan z Litwy? — spytał po polsku.

Skinąłem głową potwierdzająco.

Stał przez chwilę ze spuszczonemi oczyma, zmarszczył gęste czarne brwi i odwrócił się szybko do obrazu, nie okazując chęci do dalszej rozmowy.

Zacząłem porównywać kopię z oryginałem. Oh, jakże blado, smutnie, wstydliwie nawet wyglądał stary oryginał, w jakże świetny sposób przewyższyła go świeża praca młodego artysty! Jaki koloryt, jaka perspektywa, co za cudowna harmonia w najmniejszym szczególe! Obrazek, wykończony z zamiłowaniem, oddychał życiem niby wprost wykrojony z natury. Tej prawdy nie mógłbym nazwać malowaną. Zaszedłem z boku, chcąc raz jeszcze spojrzeć w twarz malarza. Spostrzegł moją ciekawość, nachmurzył się jeszcze więcej, twarz wyrażała proste, ale niezbyt uprzejme: czego cię tu licho przyniosło! Unikał mego zwroku, chcąc tem samem uniknąć rozmowy.

— To pańska praca? — spytałem niezrażony.

Skinął głową. Miałem pochwałę na ustach, ale poważno-surowy wyraz twarzy malarza nie dozwalał mi ich otworzyć.

— Czyj to oryginał?

— Eh, jestto robota mało znanego artysty — odrzekł.

Mój głos pokorny zdawał się go rozbrajać; spojrzał na mnie, jakby wyczekiwał, czy go jeszcze o co nie zapytam.

— Artysta ten był niegdyś moim nauczycielem — mówił dalej bez cienia niecierpliwości —obrazek zaś przedstawia w istocie chatę litewską; te dwa powody skłoniły mię do skopiowania, chociaż pejzażystą nie jestem.

Wielbiciel mitologii stał już od pięciu minut za jego plecami; przebiegał wzrokiem od oryginału do kopii i napowrót; obraz zajmował go widocznie.

— Hm, *pas mal, pas mal*!— wyrzekł, talent, tak... wielki talent—dodał zasłyszawszy, że rozmawiamy po polsku. *Siużet* tylko... mdły! To pan robiłeś? Hm, nie źle, wcale nie źle! *Siużet* niewdzięczny, ale zrobione po mistrzowsku! Pejzażysta, co?

Wąchał tabakę, mrugał oczami, zmęczonemi długiem natężeniem.

— Hm, lat kilka jeszcze... Włochy... Rzym... a może wyjść znakomitość! Tak, tak — mówił dalej jakby do siebie.

Drobnemi krokami obszedł stalugi i zatrzymał się za obrazem, akurat naprzeciw artysty. Spojrzał mu w oczy, a wąskie

wa, która zatem nie wyprzedza go, ale jest *wynikiem* istniejących urządzeń. Jakie są rzeczywiste instytucye prawne, taka powstaje w nas idea prawa. Dlatego np. nasza idea europejska sprzeciwia się wielożeństwu: na Wschodzie zaś tamtejsza zgadza się z wielożeństwem itd. Fałszywe to operowanie „filozofii" doprowadziło nas do tego, żeśmy uwierzyli w ideę prawa, jako wyprzedzającą państwo, górującą nad niem, służącą mu wszędzie i zawsze za wzór. Tymczasem, jak powiadam, rzecz się ma odwrotnie. Państwo wyprzedza prawo, które jest jego utworem, a więc też pierwsze góruje nad drugiem i przestrzega przepisów jego *zawsze* tylko o tyle, o ile własny interes tego wymaga. Znali to już rzymianie, kiedy powtarzali: *salus reipublicae suprema lex*. Tak też jest w istocie.

Prawo potrzebnem jest państwu; utrzymuje ono w niem wewnętrzny ład i porządek; ale państwo tak samo, jak przemocą tylko i podbojem stanęło, również tylko na gruncie siły i władzy opartem być może. Tylko w obrębie ustanowionych przez nie granic, w dziedzinie stosunków *prywatnych* prawo panuje nad gwałtem i przemocą: ale w stosunkach prawa samego, w kwestyach bytu państwa i rządu, tam w istocie zawsze i wszędzie znajduje zastosowanie Bismarkowskie: *Macht vor Recht*.

Ale z tem wszystkiem nie trzeba sobie wyobrażać prawa jako *dowolnego* utworu ustawodawcy lub panującego. Bynajmniej. Stosunki między panującymi a poddanymi wyradzają wszędzie i zawsze podobne potrzeby i konieczności, z których wypływają wszędzie i zawsze w istocie te same ustanowienia. Nie jest zatem prawo dziełem woli lub kaprysu jednostek, na czele społeczeństw stojących, ale rezultatem koniecznym potrzeb, wynikających ze stosunku zwierzchnictwa jednych nad drugimi, albo innemi słowy: koniecznym wynikiem *polityki* panujących, zostającej w ciągłej walce z oporem opanowanych; jest wypadkową dwóch sił w przeciwnym kierunku działających, rządu z jednej, a ludu z drugiej strony. Nieustanne zaś działanie tych dwu prądów sprowadza nieustanny rozwój prawa w każdem państwie. Podobnie zaś, jak te dwa prądy tkwią głęboko w naturze społeczeństw i są zjawiskiem naturalnem, również wypływające z nich prawo i rozwój jego są zjawiskami naturalnemi. również przeto mogą i powinny być badane jak każde zjawisko przyrodnicze.

Ludwik Gumplowicz.

PRÓBA PSYCHOLOGII.

Dr. Natanson zamierzył napisać psychologię *).

Delikatną stroną jego książki jest terminologia i klasyfikacya. W tytule zaraz znajdujemy zagadkową nieco nazwę „idiodynamizmu," która oznaczać ma jestestwa „samoistne, własnosilne," która jednak niezupełnie odpowiada założeniu autora. Przewodnią bowiem myślą jego pracy jest jedność i zamienność sił przyrody, zadaniem zaś — okazać, iż to, co nazywamy zjawiskiem nerwowopsychicznem, stanowi tylko przejściową postać ogólnej siły działającej we wszechświecie, która powstawszy z innych form, jak: światła, powinowactwa chemicznego itp.—z kolei może się w nie znów przeobrazić i stać się światłem, elektrycznością, ruchem mechanicznym (mięśniowym). Ażeby jednak jakakolwiek siła mogła przybrać postać psychicznej, znaleść musi istotę odpowiednio uorganizowaną, i takie to właśnie istoty nazywa autor, jak sądzę, niewłaściwie—idiodynamicznemi. Istoty te bowiem są tylko biernym podkładem, na którym odbywa się owa przemiana, a ruchy, którymi różnią się od ciał martwych, nie są bynajmniej ich ruchami samoistnymi, w nich się rodzącymi, ale po prostu odmianą i wynikiem jakiejś innej siły, podobnie jak ruch chemiczny jest przemianą ruchu eteru świetlanego na kliszy fotograficznej, której jednak idiodynamiczną nie nazwiemy. Nie spierałbym się tyle o nazwę, którajest wogóle rzeczą obojętną, gdyby nie to, że idzie tu o zastąpienie terminu powszechnie przyjętego i zrozumiałego, pod którym od trzech wieków niejedno znakomite pojawiło się dzieło — terminu *psychologii*. Jeżeli zaś porzucać mamy miano dawne dla nowego, trzeba, abyśmy w tem znajdowali korzyść, której tu wcale nie widzimy, co więcej, nie widzimy nawet potrzeby, gdyż stanowisko, z jakiego autor traktuje zjawiska psychiczne, bynajmniej nie jest nowem i współczesna psychologia uwzględniała je zawsze, ilekroć i o ile to dla jej zadań pożytecznem być mogło.

Podawszy w sposób bardzo jasny i zajmujący kilka uwag ogólnych o odmianach sił, o ruchu cząsteczkowym wogóle a nerwowym w szczególności, dzieli autor przedmiot swój na trzy, co do objętości nierówne części. W pierwszej mówi o zjawiskach, opisywanych zwykle jako czynność życia roślinnego, drugą przeznacza rozpatrywaniu objawów życia duchowego w ściślejszem znaczeniu, trzecią wreszcie poświęca czynności mięśniowej, kończy zaś krótką historyą rozwoju układu nerwowego i wywodami transcendentalnymi. Część druga, najobszerniejsza, zawiera naprzód wykład o zmysłach, potem o organach i czynnościach ośrodkowych i o organach odśrodkowych, przeprowadzających pobudki ruchowe. W rozdziale o zmysłach znajdujemy treściwie zebrane rezultaty nowszych fizyologicznych badań z dość obfitem uwzględnieniem anatomii. Za to strona psychologiczna i psychofizyczna przedmiotu mocno szwankuje już w tem miejscu. Pomijam powierzchowne i niedokładne przedstawienie procesów percepcyj zmysłowych, współdziałania wielu zmysłów w tworzeniu wyobrażeń przestrzeni, bryłowatości, ruchu itd., co wszystko, dorywczo tylko wypowiedziane, nie nauczy tego, kto bez uprzedniej znajomości książkę czytać będzie. Ponieważ szło autorowi o zużytkowanie tylko faktów dla naukowej „teoryi," mógł się więc dydaktycznemi wymaganiami nie krępować. Tembardziej jednak żądać mamy prawo, aby fakty, które bez udowadniania przytacza, były prawdziwe, zgodne z obecnym stanem wiedzy. Tymczasem p. N. nieraz zasadzie tej uchybia. Tak o zmyśle dotykowym czytamy, że „*cała* powierzchnia ciała na każdy wpływ zewnętrzny tak jest czułą, jakby z *jednej masy nerwowej* się składała," co stanowczo przeczy u-

*) *Teorya jestestw idiodynamicznych*. Poświęcone pamięci J. Śniadeckiego, Warszawa.

---

usta skrzywiły się sarkastycznie; obejrzał od stóp do głowy i znowu w twarz się wpatrzył. Czerwone plamy wystąpiły na policzki młodzieńca; jakaś strasznie rogata duma musiała siedzieć w tem wątłem ciele, przykrytem taką nędzną odzieżą. Nienawidził pochwał, czy współczucia, gdyż zarówno podziwianie pracy, jak i przyglądanie się osobie, drażniły go widocznie. Na mitologa nie raczył nawet spojrzeć; nachylony nad skórzanym workiem układał zwolna pędzle i inne przyrządy.

— Hm, jeżeli przytem wytrwałość się znajdzie — przemówił staruszek; tak, wytrwałość przedewszystkiem!

Wykrzywił się złośliwie, a przymrużywszy oczy, patrzał z niedowierzaniem na młodzieńca.

— Iluż to ja takich, a może i zdolniejszych nawet spotykałem, tu, w tej samej galeryi! Zapowiadali gienialne talenty, rwali się niby do pracy! I gdzież są ci nasi niedoszli gieniusze! Che, che, rozpłynęli się w obłokach zarozumiałości, albo zrejterowali przed trudnościami. Tak, brak wytrwałości paraliżuje w nas wszystkie, nawet olbrzymie talenty! Marnujemy...

Malarz spojrzał na niego przez ramię.

— Czyż tylko brak wytrwałości? — spytał ze złośliwą ironią.

Wnet jednak twarz przybrała ponurą powagę; odwrócił głowę i układał dalej swoje rzeczy.

Starzec zdumiony, że mu przerwano tak niespodzianie, wyprostował się, spojrzał raz jeszcze na malarza, kopię, oryginał i odszedł drobnemi kroczkami ku... Ledzie.

— Pan ten obraz ma do sprzedania? — spytałem, gdy zamknąwszy worek, zwrócił się znowu do swej pracy.

Podniósł głowę; w oczach błysnęła radość, czy zdziwienie.

— Ależ tak, sprzedałbym najchętniej!

Spoglądał na mnie z niedowierzaniem.

Powierzchowność moja nie oznaczała zapewne ani znawcy, ani amatora. Już to za zbyt szczery wyraz twarzy wcale sobie wdzięczny nie jestem.

— Kupiłbym chętnie ten pejzaż—rzekłem nadrabiając miną!

— A jabym sprzedał jeszcze chętniej. Pan długo tu zabawi? — zapytał, po chwilowym namyśle.

— Jutro muszę wyjechać.

— To za prędko! Pejzaż podmalowany dziś jeszcze w kilku miejscach, do jutra gotów nie będzie.

Zamilkliśmy; artysta nachmurzył czoło.

— Może pan ma coś innego? Przyznam się, że nie chciałbym wyjeżdżać bez żadnej pamiątki... Kto wie, czy będę tu kiedy!...

Zasunął palce we włosy i wpatrzył się ponuro przed siebie.

— Mam — odrzekł z cicha — tak mam... portret; robota o wiele lepsza, niż ta... twarz charakterystyczna... Portret malarza... Nic znakomitego wprawdzie, nieznanego nawet! Ha, ha!... jednego z tych, co dla braku wytrwałości rozpłynęli się... w nędzy! Paradny ten... ten... znawca, kaznodzieja! Ciekaw jestem, czy sam próbował przeżyć choć jeden dzień bez .. szampana i Hawany?... Ha, ha, paradny!

Błysnął oczami w stronę staruszka, zadumanego przed Ledą.

— Portret mam w mieszkaniu, jeżeli pan łaskaw...

— Służę panu.

Wyszliśmy. Podążał spiesznie przede mną, a tylko na rogach ulicy oglądał się, czy nie zemknąłem. Znaleźliśmy się wkońcu na jakiemś długiem podwórzu, gdzie po raz pierwszy zwątpiłem o niemieckiej czystości. Przez środek, dla wygody więcej niż dla ozdoby i woni, płynął strumień mydlin, unosząc z sobą resztki obierzyn od cebuli i kartofli. Zapach palonej kawy, smażonego mięsa, monotonne siekanie nożem po stolnicach, oznajmiały, że się znajdujemy w państwie kuchennem. Wspinaliśmy się dość szczęśliwie przez cztery, czy pięć pięter. Jeżeli to prawda, że natchnienie płynie z nieba, czy z obłoków, to artyści mają racyę, lokując się na strychu. Towarzysz mój uchylił drzwi. Weszliśmy do izdebki nieznośnie jasnej, białej, a tak ciasnej i chłodnej zarazem, jakby była chatką ze śniegu. Na progu już, chcąc zapewne uwagę moją odwrócić od pustych kątów, wskazał mi portret, wiszący między dwoma oknami. Zbliżyłem się. Malarz stanął obok mnie, widziałem, jak zacisnął pięście, a lekki surducik dziwnie jakoś zadrżał mu na piersiach.

Portret przedstawiał jedną z fizyognomij, napiętnowanych przez życie jakąś kreską, zmarszczką, czemś, co się określić nie da, a pomimo to zdradza ciężką przeszłość

stalonym w tej sprawie poglądom i oddawna, bo jeszcze przez Webera, dokonanym doświadczeniom. Uczony ten dowodnie wykazał, że czułość skóry w różnych okolicach bardzo jest niejednostajną i nawet dla oznaczenia jej wprowadził do psychologii pojęcie *okręgów wrażliwości dotykowej*: w granicach każdego z takich okręgów, których wymiar poprzeczny wynosi od 1 mm. (koniec języka) do 68 mm. (środek grzbietu), dwa końce rozszczepionego cyrkla robią wrażenie jednego, a odpowiednio do tych różnic czułości i rozmieszczenie nerwów w danej okolicy jest gęstszem lub rzadszem. Dalej nie rozumiem zupełnie, skąd autor przychodzi do rozróżnienia w dotyku dwojakiego rodzaju nerwów, z których jedne dają jakoby czucie *ciśnienia*, drugie—*łechtania*. Wiele przemawia za tem, że nawet wrażenia dotyku i temperatury dochodzą zapomocą jednych i tych samych nerwów (np. to, że przy słabem natężeniu, albo na błonie śluzowej w rectum wrażeń tych nie rozróżniamy). Ale chociażbyśmy tu z p. N. rozdzielność przyjęli, to nigdy nie można jeszcze wprowadzać jakiegoś trzeciego rodzaju. Właściwie mówiąc, ani łechtanie, ani ciśnienie nie są typowemi wrażeniami dotyku: ostatnie są oczywiście wrażenia złożone dotyku czystego, jak czucie włosa leżącego na skórze, i zmysłu mięśniowego. Co do łechtania, to zagadkowa ta forma czucia jest prawdopodobnie zależną od trwania i następstwa bodźców a także wpływów czysto ośrodkowych (psychicznych), jeśli zaś zechce ktoś objaśniać ją anatomicznie, to potrzeba na to dowodów, których dotąd wcale nie przytoczono i których u autora też nie znajdujemy.

W ustępie, zamykającym naukę o zmysłach, przekonywamy się, iż autor jest wyznawcą specyficznej energii nerwowej, który to pogląd stosuje następnie i do organów ośrodkowych wielkiego mózgu. Jakiekolwiek na poparcie tej teoryi możnaby przytoczyć dowody, nie sądzę, aby się do nich zaliczyć dała i „szczególna budowa samego nerwu," którą autor właśnie wymienia: ciekawem by było dowiedzieć się, jakie to różnice w budowie nerwów zmysłowych widział p. N., skoro dotąd przy najsilniejszych powiększeniach żadnych wykryć nie zdołano. Co do samej teoryi zauważę tylko, iż nie godzi się ona żadną miarą z faktami tak natury patologicznej, jak fizyologicznej, np. z tem, że ośrodki wielkiego mózgu a nawet całe półkule mogą się wzajemnie zastępować, po uszkodzeniu którychkolwiek, a także z doświadczeniami Vulpiana, który poprzecinawszy i złączywszy odpowiednie nerwy u psa, mógł po włóknie czuciowem przeprowadzać pobudzenia ruchowe i odwrotnie. Co więcej, przeczy pogląd ten skądinąd prawie udowodnionej teoryi powstania odrębnych zmysłów z jednego ogólnego (dotykowego) przez przystosowywanie się tylko oddzielnych włókien do różnego rodzaju pobudzeń. Odrębną zaś wrażliwość różnych nerwów tłomaczyć można różnicą ich zakończeń a także ruchów cząsteczkowych. Wszakże, ponieważ teorya specyficznej energii zmysłów ma jeszcze obrońców w świecie naukowym, jakkolwiek ją uważać będziemy, nie możemy z przyjęcia jej robić autorowi zarzutu. Nieprawdą jest jednak, co mówi dr. N. niżej nieco o bodźcach zmysłowych, jakoby z pomiędzy wszystkich ogólnym była tylko elektryczność: jest nim także i ruch mechaniczny, który pobudza nietylko dotyk, jak utrzymuje autor, lecz i wzrok (świeczki w oczach), słuch (szum za naciśnieniem ucha). Co do smaku to Baly (u Carpentera: *Fizyol. umysłu*) dowiódł, że szybkie i lekkie uderzenie w brodawki języka wywołuje wrażenie kwasu albo soli. Wiadomo też, że podrażnienie gardzieli budzi uczucie nudności.

Za ważny bardzo brak w tym dziale poczytać należy autorowi pominięcie jednej z najświetniejszych zdobyczy nowożytnej psychologii, mianowicie prawa psychofizycznego, o którem, tak jak postawionem zostało ostatecznie przez Fechnera, zdaje się dr. N. nie wiedzieć; wzmiankuje bowiem tylko o jednym jego szczególnym objawie — wpływie kontrastu, i to dosyć ogólnikowo. A jednak prawo to, jakkolwiek dotąd zacięte toczą spory co do jego szczegółów i znaczenia, uważać można za stwierdzone w zasadzie i mające zastosowanie nietylko w zakresie zmysłów, lecz na całym obszarze życia psychicznego. Lecz jest tu jeszcze parę ustępów, przy których trudno niemal wierzyć, aby wyjść mogły z pod pióra lekarza. „Są przypadki (czytamy na str. 12 i niżej na 29), w których wrażenie, na powierzchnię nerwów wywarte, nie przechodzi przez ośrodki nerwowe, a *bezpośrednio* wywołuje przez wpływ pobudzenie w nerwach ruchowych; w następstwie takiego *przeskoku* powstają ruchy mimowolne, czyli odruchy." A więc bez komórki możliwą jest przemiana czucia w ruch, przeniesienie się po prostu z jednego włókna na drugie? W takim razie, jakże się wobec tego zachowują oddzielające od siebie nerwy powłoki rdzenna i Schwanna? Czyż przy takiem przenoszeniu się możliwą będzie rozdzielność wrażeń zmysłowych?

Twierdzenie podobne jest tak dalece niezgodne z elementarnemi podstawami fizyologii, iż wolę przypuścić tutaj ze strony autora jakieś niedopatrzenie lub błędne użycie terminów. Być może przez „ośrodki" rozumie on tylko organa wielkiego mózgu z wyłączeniem rdzenia kręgowego; lecz i w tym wypadku niewłaściwem będzie ograniczanie czynności odruchowej tylko do rdzenia, bo przecie jeśli nawet pominiemy postulat, sprowadzający wszystkie procesy duchowe (zachodzące w wielkim mózgu) do odruchu, to jeszcze pozostają takie ośrodki, jak jądra substancyi szarej ciał prążkowanych, wzgórków wzrokowych itd., które należą do wielkiego mózgu, a których funkcye, w pierwszych razach przynajmniej, okazują niewątpliwie charakter odruchowy.

Dotknąć tu jeszcze muszę jednej, drażliwej nieco kwestyi, którą autor zupełnie pomija, która przecież stanowi zasadniczy i zwrotny punkt jego wywodów. Mówię o stosunku materyi i ducha. Zewnętrzne ruchy cząsteczkowe materyi wywołują podobny ruch cząsteczek w nerwie, a więc także i w materyi — to zrozumiałe. Lecz temu ostatniemu ruchowi towarzyszy niekiedy zjawisko zwane czuciem, *świadomością*; czemże jest ta świadomość względem ruchu nerwowego? Czy mamy ją z nim utożsamić, jak to dorozumiewać się pozwala autor? Czy ona jest ruchu tego bezpośrednim i jedynie przezeń spowodowanym skutkiem, czy też jego tylko współrzędną okolicznością i czemś odeń zupełnie

---

ciebego szermierza, którego jedynym występkiem było, że się nie otrząsł z prawdy w przedpokoju karyery, albo może, nie wyrzekł się serca, doszedłszy do rozumu.

— To pański ojciec — spytałem, upatrzywszy, że podobne „coś" przebijało się wyraźnie i w twarzy młodego człowieka.

Potrząsł głową przecząco.

— Więcej niż ojciec — odrzekł prawie szeptem. To mój opiekun.

Odszedł i długo szukał czegoś na pustym stole.

— Mój opiekun — powtórzył, stanąwszy znowu przed obrazem. Kiedy byłem dzieckiem, dzielił się ze mną chlebem, potem dzielił się nauką, pracował nade mną... no, i... kochał mię trochę! Ha, byłto stary dziwak; widzisz pan, wierzył, że człowiekowi łatwiej obejść się bez ciepła słonecznego, niż bez serdecznej atmosfery!... Miał zwyczaj garnąć do siebie tych, których los od kolebki rzucił na bruk, na czcigodną opiekę publicznego miłosierdzia. Miał wiele dziwnych wybryków ten mój stary!

W głosie malarza brzmiało jakby zgrzytanie zębami; twarz i postawa były doskonale spokojne, usta tylko drgały, lub się wykrzywiały.

— Malowałem go z natury przed dwoma laty, potem, próbowałem przemalowywać kilka razy, ale napróżno; były to już tylko portrety, ten zaś, jak żywy! gdy porównywam go z tym, co mam w pamięci, żadnej różnicy nie widzę! Jakże się panu podoba? — zapytał zmieniając głos nagle.

I jakże tu było przystąpić do kupowania podobnego towaru! Przyszło mi na myśl, czy nie lepiej byłoby dać zaliczkę na pejzażyk, i już miałem się z tem odezwać, gdy malarz zwrócił się do mnie z jakimś gorączkowym pospiechem.

— Kupuj pan! — zawołał — nie pożałujesz. Nie wiem, czem będę zczasem i czy będę jeszcze czemkolwiek. Wiem to tylko, że pracy tej nie powstydziłbym się nawet wówczas, kiedy stanąłbym tam, gdzie dotąd marzeniem sięgać nie śmiem. Wlałem w nią moją całą duszę, wdzięczną, kochającą! Każde pociągnięcie pędzlem to zarazem hołd serdeczny, to coś takiego... czego wyrazić nie umiem! Kupuj, nic więcej do sprzedania nie mam!

Odwrócił się i zaczął biegać po ciasnej izdebce. Nie mogłem się obejrzeć: czułem tylko, że za mną stała jedna z tych nędz strasznych, podkopywanych głodem, dla których szlachetna duma bywa zarazem pogrzebowym całunem. Chociażbym dziś kupił pejzaż, kto wie, czy jutro staruszka nie kupi ktoś inny?

Położyłem na stoliku moją kartę wizytową wraz z banknotami.

— Portret ten przyjmuję do siebie na czasowy depozyt, czy zgoda? — rzekłem. Przyślesz pan mi go później.

Czułem, że w tej chwili obaj nie byliśmy zdolni sięgnąć po obraz na ścianę.

Ledwie wróciłem z obiadu do hotelu, znalazłem już mój sprawunek, owinięty w kilka numerów niemieckich gazet. Nie chcąc dla takiej drobnostki rozpakowywać rzeczy, wyjeżdżając, wziąłem go do ręki i jemu to zawdzięczam, że na dworcu wczorajszy staruszek w okularach poznał mię i powitał. Ja go też poznałem, ale do powitania nie miałem ochoty. Widziałem, jak drobnymi kroczkami wbiegł do sali, otulony w tumakowe futerko; lokaj wniósł za nim gutaperkową poduszkę i pled okręcony rzemieniami. On zaś sam w obu rękach trzymał obraz osłonięty grubym muszlinem.

— A, i pan nie z próżnemi rękami! — zawołał, spoglądając na mój portret. Ze świątyni sztuki, również jak z cudownego miejsca każdy stara się unieść jakąś świętość. Ja też wiozę z sobą zdobycz niemałą.

Podniósł obraz, a przez muszlin ujrzałem — Ledę! Kopię tylko wprawdzie, o wiele mniejszą i nędzniejszą, ale również rozkoszną. Więc to była jego świętość! Zaśmiałem się inpertynencko.

— Czego się pan śmieje? — zapytał z obrazą w głosie.

— Ileż za to... mięso? — zapytałem ostatecznie niegrzecznie.

Staruszek uśmiechnął się udobruchany.

— To mięso, panie łaskawy, dostało mi się na pół darmo! Tak, tak, robota wprawdzie nieszczególna, ale *siużet*!...

Cmoknął językiem.

— *Siużet* to grunt! Kosztuje mię 12,000 franków! Przyznam się, że przygotowany byłem dać daleko więcej.

Pociąg świsnął. Jechaliśmy wprawdzie w jedną drogę, tylko że on w pierwszej, ja zaś w trzeciej klasie.

Ostoja.

różnem? Jak widzimy, stary to sfinks, który teraz nie łatwiej daje się odgadnąć, niż przed wiekami. Dr. N. jednak zbyt mało robi sobie z nim zachodu. Mówi po prostu, że „siła zmienia formę, ruch mechaniczny, świetlny itp. *staje się* inerwacyą dośrodkową, *czuciem* zmysłowem" (str. 29, 33). Czyta się to łatwo, ale przeskakuje się jednocześnie przepaść, największe jakie istnieje przeciwieństwo—podmiotu i przedmiotu. Co do utożsamiania materyi i czucia, które w tym razie ma być tylko jedną z objawianych przez nią sił, jej przypadkową właściwością, zauważyć należy, iż nauka o zjawiskach duszy, badając ich prawa i przyczynową zależność, nic a nic nie zyskuje na przypuszczeniu jakiegoś pierwiastku duchowego, któryby był odrębnym i samoistnie się zachowywał wobec ruchu molekularnego w nerwie. Owszem, przyjmując taki pierwiastek, wnosimy tylko do badania psychologicznego pewien czynnik zamętu, który co chwila sprowadza nas z konsekwentnej drogi i uniemożliwia zdobycie jakichkolwiek pozytywnych, zgodnych z ogólnem prawem przyrody wyników. Przykładem teorya wolnej woli, która opiera się na tem tylko, że *czujemy* możność tych lub innych poruszeń. Ażeby takie wyniki osiągnąć, koniecznem jest, wyjść z przypuszczenia, iż w istocie świadomej mamy tu do poznania tylko mechanizmy ruchów materyi, pośród których świadomość odgrywa rolę zupełnie bierną; opieramy się na twierdzeniu o przemianie i równoważności sił, i tylko z ich skombinowanego działania usiłujemy wyprowadzić wszystkie procesy życia psychicznego, postępując wciąż tak, *jak gdyby* świadomości nie było. Patrzymy wciąż na człowieka, jako na automat. wprawdzie świadomy, ale który po za tem ma w samym sobie wystarczające impulsy zjawisk, w którym świadomość ta nie jest ani na chwilę jakiemś *primum movens*, lecz tylko cechą przypadkową, nie czynnikiem pierwotnym, powodującym, lecz wtornym, ubocznie towarzyszącym, tak iż mógłby on nie istnieć bez ujmy dla samego zjawiska. Rzeczywiście, zdolni jesteśmy, przedstawić sobie stan taki, w którym zniknąłby wszelka świadomość ze wszystkich ludzi, a jednak na świecie zachodzićby mogło wszystko pozornie zupełnie tak samo, jak teraz: ludzie zupełnie pozbawieni czucia również mogliby staczać bitwy, truć się z miłości, oszukiwać w kartach i polemizować w kwestyach naukowych: albowiem i wtedy pozostałyby zewnetrzne ruchy cząsteczkowe, które wywoływałyby takież ruchy nerwów, z tych wynikałyby ruchy mięśni — gesta, skurcze twarzy, gardła i języka (mowa), które znów z kolei pobudzałyby nowe procesy nerwowe u innych osobników, i tak bez przerwy odbywałby się prawidłowy obrót ruchów. Przypuszczenie to, jakkolwiek mocno razi zdrowy rozsądek i gwałci nawyknienia naszej wyobraźni, niemniej zupełnie jest uprawnione, a nawet życie dostarcza wypadków, które je do pewnego stopnia urzeczywistniają, jak np. w głośnem zdarzeniu sierżanta francuskiego, który, raniony pod Sedanem, zapadać zaczął od czasu do czasu w stan zupełnej nieświadomości i w tym stanie wykonywał wiele skomplikowanych działań: śpiewał patryotyczne pieśni, składał raporty, pisywał listy do przyjaciół itp. Wszakże w takiem badaniu zjawisk psychicznych, z pominięciem pierwiastku świadomości, w takiej psychologii bez duszy, nie powinniśmy zapominać, że wyszliśmy z hypotezy, że tam, za nawiasem stoi jakieś X., któregośmy do rachunku nie wlączyli, a które prędzej czy później trzeba jednak uwzględnić, bez którego rachunek, czyli nasze poznanie nie będzie dokładnem, ani pełnem. Pod tym dopiero warunkiem, ale tylko pod tym rozważać można życie psychiczne, jako kombinacyę wypadkową ruchów nerwowych i o objawach jego mówić bez różnicy — co czyni dr. N. — jako o ruchu cząsteczkowym, albo o czuciu zmysłowem. (D. n.).

J. W. Dawid.

Badania dziejowe.

N. Liubowicz. **Istorja rieformacii w Polszie. Kalwinisty i antitrinitarii (po nieizdannym istocznikam).** Warszawa, 1883, 8-a str. III, 347 i XXIX.

Dzieje reformacyi w Polsce budziły w uczonych naszych uwagę pilną; dość wspomnieć cenne badania Łukaszewicza, prace Krasińskiego, Zakrzewskiego, Szujskiego i innych. Zakrzewski pierwszy przed laty trzynastu usiłował organicznie przedstawić całość ruchu z uwzględnieniem genezy jego i stopniowego rozwoju; Szujski w cennej pod względem materyału, lecz wstecznej w zasadniczych poglądach monografii zaczepił reformacyę o humanizm piętnastego stulecia. Pomimo badań dość skrzętnych, szczegóły i całość wymagają wielu jeszcze dociekań, by się sprawa doniosłego ruchu intelektualno-społecznego stała przejrzystą zupełnie.

Uczeni zachodni o reformacyę w Polsce, jako o objaw w ścisłym będący związku z umysłowością Europy, potrącali dość często i niemało przedstawili wyjaśnień; pisarze wschodni od czasu, gdy się wznosić poczęli do wyższych naukowych pożądań, których nie zaspakaja chudy produkt gleby rodzimej, ku cywilizacyi naszej również poczynają się zwracać. Nieobojętną to dla nauki i dla nas jest rzeczą, — oczywiście, w tym tylko wypadku, jeżeli pisarze nie podejmują badań w celach ubocznych.

P. Liubowicz — o ile wiemy, docent na katedrze historyi w uniwersytecie warszawskim—mniej jest mężem stanu w traktowaniu dziejów, niż nieboszczyk Makuszew w gramatyce lub ktoś inny w medycynie: rozprawy też autora — owocu rzetelnych naukowych dociekań i śledzeń—nikt pewnie z rodaków jego nie użyje za grot do rażenia cieniów naszej przeszłości, ani za przepełniony oryentalnemi wonnościami trybularz ku okadzaniu zgnilizny Zachodu. Tak fenomenalną książkę, napisaną w języku rosyjskim o Polsce, warto przeczytać uważnie.

Opisując w rozdziale pierwszym stan kościoła polskiego i kleru przed reformacyą, potrąca autor o stosunki wewnętrzne czternastego i piętnastego stulecia: na dobrych opracowaniach wsparty i źródłach, wywiązuje się z zadania szczęśliwie. Błędnie tylko przedstawił stosunek szlachty z piętnastego stulecia do panów, a to przez niedokładne zrozumienie teoryi Hubego. „Dopókąd u steru rządu stał pan dziedziczny — pisze Hube (*Statuta nieszawskie*, str. 18), arystokracya dygnitarska albo popierając go, albo krępując, a w każdym razie mniej więcej kierując jego działaniami, mogła obejść się bez współudziału rycerstwa, będąc zawsze w możności rozporządzania jego ruchami urokiem władzy panującego. Inny obrót rzeczy wzięły, gdy tron stał się wybieralnym i powołani nań zostali obcy, jak na owe czasy potężni monarcze. Nie wystarczały wtedy dygnitarzom dla utrzymania się i wzmocnienia w swojem stanowisku własne ich siły, choćby wsparte pomocą ich domów; trzeba było mieć za sobą całe rycerstwo. Aby ten cel osiągnąć, należało je wyprowadzić z jego biernego stanowiska, pokazać, że ono gotowe jest w każdym razie ich wspierać; aby zaś to osiągnąć — zespolić je ze swemi dążeniami, przez udział w wywalczanych coraz nowych swobodach. Jakoż od końca wieku czternastego napotykamy ciągle zjazdy baronów z rycerstwem, na których załatwiają się najważniejsze kwestye bieżące."

P. Liubowicz, streszczając powyższy ustęp, zakonkludował: „Od czasów króla Ludwika panowie w ważnych sprawach państwowych urządzają zjazdy wspólne ze szlachtą. W ciągu piętnastego stulecia zjazdy owe odbywają się coraz częściej, a w drugiej połowie tegoż wieku szlachta stanowczo zdobywa sobie stanowisko polityczne i od tego czasu Polska rozpoczyna swe życie parlamentarne" (str. 5). Z konkluzyi takiej możnaby wnioskować, że szlachta w drugiej połowie piętnastego wieku stanowisko polityczne zdobyła przy pomocy magnatów i że teoryę podobną wygłosił Hube... Tymczasem, ani szlachta z owego czasu nie zawdzięczała zdobyczy swoich magnatom, ani znakomity historyk prawa w podany przez p. Liubowicza sposób kwestyi nie stawia. Wspólność interesu szlachty z panami spostrzega Hube tylko do połowy piętnastego wieku. Aż do tego czasu — powiada (l. c. str. 21) — „zasługuje na uwagę ta okoliczność, że jakkolwiek rycerstwo przyjmowało udział w załatwieniu jakowej sprawy, udział ten postawiony był pod kierunkiem dygnitarzy. Oni byli duszą obrad, od nich wychodziła ich inicyatywa, oni wskazywali środki, wiodące do osiągnięcia zamierzonego celu; prosty rycerz poprzestawał na tem, że był do obrad z dygnitarzami przypuszczony i że mógł powiedzieć, iż do postanowienia wydanych uchwał obecnością swoją i zgodą przyłożył się. Na aktach, z czynności takich spisywanych, znajdujemy też prawie wyłącznie zaznaczoną tylko bytność pojedynczych dygnitarzy, jako tworzących właściwe koło obradujące i stanowiące. W położeniu tem miała atoli zajść wkrótce ważna zmiana."

Na zmianę ową wpłynęła polityka Kazimierza Jagiellończyka, który, dążąc do wzmocnienia swej władzy, przeciwko możnowładztwu szukał oparcia na szlachcie, tak samo, jak monarchowie zachodni na stanie mieszczańskim. Polityki takiej trzymał się Olbracht i Aleksander, rezultatem czego był szereg ruchów szlacheckich, łamiących arystokracyę, lecz pochłaniających i króla. W drugiej przeto połowie piętnastego stulecia szlachta, najprzód pchnięta przez królów, występuje przeciwko panom, następnie zwraca się przeciwko samym monarchom i pierwszorzędne sobie w państwie zdobywa miejsce. Samodzielność, z jaką w drugiej połowie piętnastego wieku w zakresie polityki wewnętrznej działała szlachta, nie jest, zdaniem naszem, bez związku z ruchem szesnastego stulecia, łamiącym powagę kościoła i kleru.

Zasadnie za to przedstawia autor stosunek szlachty do kleru, nieustanne pomiędzy tymi stanami niesnaski o dziesięcinę i jurysdykcyę, oraz z okazyi wymierzanych przez duchowieństwo kar kościelnych, chociaż doniosłość wywodów swoich przecenia. „Rzecz dziwna — powiada (str. 42)— że historycy reformacyi w Polsce mało zwykle zwracają uwagi na tę walkę zaciętą pomiędzy szlachtą i klerem, walkę, która się rozpoczęła na półtora wieku przed reformacyą." Tak źle znowu z uczonymi naszymi nie było i nie jest: dość wspomnieć gruntowną monografię Smolki p. t. *Unia z czechami*, w której sprawa sporów o dziesięciny i jurysdykcyę duchowną przedstawioną została dokładnie. Rzecz dziwniejsza, że autor, tak dosadnie akcentujący kolizye pomiędzy szlachtą i klerem w czternastym i piętnastym wieku, uważający nawet ruch szesnastego stulecia za sporów owych ciąg dalszy (str. 42), nie ocenia należycie natury husytyzmu w Polsce, ani nie widzi związku tradycyi husyckich z reformacyą. Według p. Liubowicza husytyzm w Polsce „miał w pierwszej połowie piętnastego wieku bardzo niewielu zwolenników, a i ci, którzy się go

czepiali, czynili to z rachuby politycznej" (str. 44), bo demokratyczny charakter husytyzmu nie mógł się podobać Polsce szlacheckiej (str. 45). Że w ruchu husyckim pierwiastek polityczny rolę grał ważną, wątpić o tem nie można; że jednak nie był mu obcym i czynnik społeczny, wbrew autorowi — demokratyczno-szlachecki, dowiedzioną to również jest rzeczą. Ruch husycki, pomijając rachuby polityczne, nie był niczem więcej, jak opozycyą szlachty przeciwko społecznej przewadze kleru: dziesięciny, klątwy, jurysdykcya duchowna, to główny mostu jego fundament. Z tego względu nie możemy z autorem się zgodzić, żeby przyczyny, które w piętnastym wieku wywołały husytyzm, a w szesnastym reformacyę, nic nie miały z sobą łącznego. Że podczas reformacyi protestanci nie lubili, jak twierdzi autor (str. 44) braci czeskich, nie dowodzi to braku owej łączności; w większej był przecie niełasce aryanizm, a nikt mu pomimo tego nie zaprzecza źródła z protestantyzmem wspólnego. Zdaniem naszem, jak na Zachodzie, tak też i u nas dwa owe ruchy stanowią ogniwa, w bardzo ścisłem będące związku. Wogóle, geneza ruchu przedstawiona jest słabo: nie uwzględnił p. Liubowicz wcale humanizmu w Polsce piętnastego stulecia, a kierunek ten przecież bezpośrednio z reformacyą się wiąże.

W następnych rozdziałach przedstawia autor ruch reformacyi w Małopolsce za króla Zygmunta I, procesy przeciwko heretykom, sejmy z r. 1552 i 1555, unię nowowierców w Koźminku, legacyę Alojzego Lippomano; opisuje stan wewnętrzny kościoła małopolskiego do czasu przybycia Jana Łaskiego, działalność ostatniego, rozwój aryanizmu, oddzielenie się jego od kalwinizmu i kończy na sejmie piotrkowskim z r. 1562/3.

Praca p. Liubowicza istotnie gruntowna, przeważnie na nieogłoszonych materyałach archiwalnych oparta, podaje dużo rzeczy nowych a ważnych. Pomijając — i słusznie — wczesny ruch gdański, początki reformacyi w Polsce do właściwego sprowadza czasu, wyjaśnia stosunek braci czeskich do protestantów, kształtowanie się kalwinizmu i aryanizmu, przyczem nie zapomina o sprawie głównej — o przeobrażeniach społecznych. Nie zapomina, ale je przedstawia o tyle tylko, o ile pod nazwą egzekucyi praw stają się przedmiotem obrad sejmowych. Nie wyczerpuje to oczywiście treści całego ruchu: sprawa przeobrażeń, czyli tak zwanej „naprawy rzeczypospolitej" uwydatnia się w bogatej literaturze szesnastego stulecia i tę właśnie dziejopis reformacyi powinien rozstrząsnąć. Nie uczynił tego p. Liubowicz zapewne dla tego, że podjął pracę monograficzną, że zamierzył przedstawić tylko kalwinizm i aryanizm. Ważniejszym będzie zarzutem, że autor uwzględnił rozwój reformacyi głównie w Małopolsce, a inne prowincye pominął. Grzesznego łamania jednolitego w rzeczypospolitej ruchu na ułamki według prowincyi, ze stanowiska naukowego usprawiedliwić nie można.

Pozostawiając kontrolę szczegółów dzieła uczonym, dla których dostępne są źródła, zauważymy tylko, że pewne terminy w książce p. Liubowicza nie są dość ścisłe. O Orzechowskim powiada, że był „russkij..." To, co się pod terminem „russkij" pojmuje dzisiaj, ojcowie nazywali *Moschus*; Orzechowski zaś nie był *Moschus*, ale *Ruthenus*, *Polonus ex Russia*; nie rosyanin, lecz roksolan, rusin, rusak. Nie znali także współcześni na Rusi religii „prawosławnej," pod którą rozumie autor chyba obrządek grecki.

Wł. Smoleński.

Prasa peryodyczna.

Ateneum, październik, listopad, grudzień.

W ostatnim tomie dział historyczny szczególnie bogato się przedstawia. Rozpoczętą jeszcze w roku zeszłym monografię rodziny Łaskich w XVI wieku p. W. Zakrzewski zakończył dopiero teraz wyczerpującą pracą o Olbrachcie, wojewodzie sieradzkim. Opiera się ona na dziełach i źródłach, ogłoszonych w ciągu lat trzydziestu i zawiera mnóstwo szczegółów z awanturniczego żywota Łaskiego oraz dokładny obraz stosunków z zagranicznymi dworami, którym służyć pragnął i od których nawzajem wyniesienia i zaszczytu się spodziewał. Sama natura znakomitego pana, który nigdzie miejsca zagrzać nie umiał i w chaosie własnych namiętności zapominał po największej części o obowiązkach względem własnego narodu, a powtóre, nieustalony bieg wypadków po wygaśnięciu rodu Jagiellonów tłomaczą brak wszelkiej jednostajności, konsekwencyi i określonego dążenia w tym przedstawicielu rodziny, obfitującej w dzielne głowy. Olbracht robi wrażenie poszukiwacza złota i godności a w wielu razach i szalbierza; dwa te rysy bowiem najczęściej chodzą w parze u osób, którym los nie pozwalał zaspakajać wybryków buty i wielkopańskich zachcianek. Do życiorysu jego wciągnięci są wszyscy monarchowie, zainteresowani w elekcyjnych melodramatach, jakie się wówczas odgrywały na Wschodzie. Tren, którym autor zamyka charakterystykę Łaskiego, będącą zarazem wizerunkiem wewnętrznych i zewnętrznych stosunków kraju, mógłby służyć za stereotypowy napis dla grobowców całej niemal magnateryi; brzmiałby on: był wolnym, dumnym, hojnym, ale buta i samolubna ambicya przesłoniły mu ogólniejsze i wznioślejsze cele; niepospolite siły i talent zmarnował w pogoni za błędnymi ognikami.

Wszelako nawet do liczby takich nie należy Dyabeł Stadnicki, któremu p. August Sokołowski poświęcił osobne studyum. Zgadzamy się z autorem, że, chcąc utworzyć sobie całkowity obraz dziejów rzeczypospolitej, należy zacząć od atomów jej, pojedynczych postaci, albowiem życie jednostkowe najbujniej się w niej rozrastało i przykrywało tylko obłudnymi pozorami dobra publicznego: jest to zasada niewątpliwie słuszna i dowodząca wybornego rozumienia ducha historyi polskiej, atoli czy usprawiedliwia ona zajmowanie się postaciami, jak Dyabeł Stadnicki, umysłowo mizernemi, pozbawionemi wszelkiej wybitności, prócz bezmyślnego szaławilstwa? Zbiór szczegółów monotonnej wojny domowej między tym awanturnikiem a nieciekawszym od niego Opalińskim może mieć, co najwyżej, znaczenie szkicu charakterystycznego, w tym wypadku najzupełniej uprawnionego, ale przyczynkiem do historyi, jakim jest np. cenna praca p. Sokołowskiego o Herburcie, bynajmniej nie będzie.

Z treścią dwu przedostatnich części pamiętników Metternicha, wydawanych przez syna jego Ryszarda i archiwistę Klinkowströma, zaznajamia nas p. K. Jarochowski. W książkach tych na pierwszem miejscu stoją zapiski żony bohatera europejskiej reakcyi, księżnej Melanii, z domu Zichy-Ferraris. Opowiedziane w nich wypadki wypełniają okres czasu od 35—48 r. i rzucają jaskrawe światło charakterystyczne na ciemną postać Metternicha, dzięki czemu wyłania się on z zamętu spraw, w których grał rolę, raczej jako niezwykle zdolny redaktor politycznych not, wybornie żyjący pan, mało przenikający w przyszłość doktryner, niż wielki mąż stanu, za jakiego chcą go powszechnie mieć, i który, pragnąc być wiernym idei swej, powinien był uważniej śledzić rodzący się w Niemczech i Włoszech ruch rewolucyjny. Metternich tymczasem brał te rzeczy lekko, nie krępując się wcale w swoim trybie życia na szeroką skalę, w towarzystwie dworujących mu monarchów i innych znakomitości. Do ważniejszych epizodów pamiętnika należy widzenie się księcia z teraźniejszym cesarzem niemieckim na Renie, zapowiedź zwołania przedstawicieli prowincyj niemieckich, uniwersyteckie ruchawki w Wiedniu, zaznaczające początek przewrotu i upadek filaru europejskiego wstecznictwa, rzeź galicyjska, w której wystąpił on, jako niesyty krwi szlacheckiej kat, co raz na zawsze powinno, według autora, zniweczyć wszelkie próby uniewinnienia go, jakkolwiek Melania każdy czyn swego smutnej pamięci małżonka wynosi pod niebiosa i jest najszczerzej przekonana o nieskazitelności jego zamiarów.

Pamiętnik Leona Dembowskiego, podany do druku przez p. Aër, w części, dotyczącej „kongresu wiedeńskiego i ustalenia Królestwa kongresowego," zawiera, oprócz drobiazgowego sprawozdania z przebiegu narad, które tak wybitną pieczęć zostawiły na losach całej Europy a Polski w szczególności, poważną liczbę dokumentów, bardzo ciekawych dla każdego a nadewszystko ważnych dla dziejopisa. Między innymi podano tu szczegółowy program posiedzeń kongresowych, traktat, określający prawa i obowiązki wolnego miasta Krakowa, przytoczono w całej rozciągłości konstytucyę darowaną krajowi przez cesarza Aleksandra I, postanowienie dotyczące innych spraw świeżo ustalonego Królestwa, szczegółową organizacyę rządu tymczasowego, zaprowadzonego w niem przez pomienionego monarchę, jego proklamacyę do polaków, takąż odezwę króla pruskiego do poznańczyków i wiele innych. Rzecz cała zaleca się bogactwem dziejowego materyału i wiernością iście kronikarską. Autor, naoczny świadek wielkiej politycznej arlekinady, która miała przywrócić ludom europejskim pogwałcone przez Napoleona prawa i niepodległość, a zeszła na zwyczajną sposobność do zaspokojenia zaborczych instynktów niemieckich—gdzieniegdzie tylko przeplata opowiadanie zdarzeniami z życia artystycznego i literackiego, opisem zabaw wiedeńskich, malujących dosadnie sztuczną powagę obrad i ich przewlekłość, a naprzód wysuwa bieg samego kongresu, zawikłania w sprawie saskiej i mniejszych państewek, dokładny opis powrotu Napoleona z wyspy Elby, jego ostateczny upadek, uroczystości, jakiemi witano w Warszawie nowonarodzone Królestwo i przymierze święte cesarzów. Pamiętnik posiada wartość archiwum, mogącego wielu poszukiwań oszczędzić, chociaż dla tej właśnie obfitości autentycznych akt, nazwisk i dat jest w zwykłem czytaniu suchym i nużącym.

Dalszy ciąg pracy p. Radlińskiego, mającej za przedmiot *Początki chrześciaństwa* Renana, zawiera streszczenie głośnego i zapewne większości czytelników znanego dzieła: *Życie Jezusa*.

Osobliwie ciekawym jest artykuł dra P. Chmielowskiego: *Sobieski w epopei z czasów saskich*. Mowa tu o bohaterskim poemacie mało znanego ogółowi wieszcza polskiego Jana Damascena, właściwie ks. Kalińskiego, który, natchniony wielkim faktem zwycięzenia turków, w trzydzieści lat później napisał utwór łaciński w 12-u księgach, pt. *Viennis*. Nastrój epopei jest całkowicie klasyczny, głównem tłem opowieści—przebieg walk stoczonych pod austryacką stolicą i świetne czyny bohaterów owej chwili. Dr. Ch. zaznajomiwszy czytelników bliżej z treścią dzieła, poddaje je ocenie, której wyrok, usprawiedliwiający zarazem wydobycie tego zabytku z pyłu zapomnienia, streszczają najlepiej słowa: niejest ono godnym wyrazem czynu opiewanego, ale po nad poziom powszechnych w owym czasie panegirycznych ramot wznosi się wysoko.

Obszerne studyum p. H. Biegeleisena o Tymonie Zaborowskim, poecie z pierwszej ćwierci bieżącego stulecia, stanowi dobry nabytek dla dziejów polskiego piśmiennictwa. Dosyć małe znane i w znacznej części po prywatnych księgozbiorach przechowywane utwory tego pisarza autor rozebrał krytycznie i uzupełnił zarysem jego literacko-dziennikarskiej działalności, jako redaktora *Ćwiczeń naukowych* w Krzemieńcu, tudzież analizę jego temperamentu i nieszczęśliwej miłości. Zaborowski pierwiastkowo hołdował fałszywemu klasycyzmowi i w końcu dopiero pod wpływem własnych spotęgowanych uniesień, Mickiewicza i literatury zagranicznej—romantyzmowi. Maniera wszakże klasyczna nie opuszczała go nigdy, najszczersze poloty uczucia mroził wiersz sztywny z jednej strony, a z drugiej rozwadniała wrodzona sentymentalność. W poezyach lirycznych przeważa refleksya nad własnemi uczuciami, bądź w postaci pesymizmu, bądź jako rezyguacya; towarzyszy jej przesadzony zachwyt nad pięknościami natury i retoryka. Niemniej znamienną cechą Zaborowskiego jest nadmierne i źle zrozumiane przestrzeganie „polskości“ w utworach własnych i krytyce. Autor poprzedza rzecz wstępną charakterystyką społeczeństwa galicyjskiego, śród którego poeta wychował się i maluje dosadnie jego zastój i zniemczenie. W sądach wolnym jest od zapału, nie przeocza prawdziwych powabów, gdzie się one w poezyach Tymona dają napotkać, ale też znaczenie jego sprowadza do należytych granic.

Rozprawa filozoficzna p. W. Kozłowskiego o *Etyce Spencera* nie została jeszcze wprawdzie ukończoną i właściwie tworzy złożony z dwu części wstęp, objaśniający stanowisko i znaczenie dzieła angielskiego myśliciela; ale mimo to może być uważana za osobną całość, za zbiór komentarzy, które niepoświęconemu znakomicie ułatwią zrozumienie przedmiotu. Autor zastanawia się nad przedmową Spencera, gdzie zaznaczony jest upadek religijnych praw moralności i potrzeba zapełnienia pozostałego po nich braku; zapytuje, czy istotnie dotychczasowy, kościelny hamulec złych popędów człowieka stracił siłę, i odpowiada twierdząco. Wynika stąd, że berło panowania powinno by przejść do etyki intuicyjnej; ona już się nie powołuje na potęgi pozaziemskie, ale wskazuje tkwiący w duszy samego człowieka instynkt, który z nieprzepartą mocą zniewala do spełniania obowiązków i unikania złego. Lecz i ten sposób uświęcania praw moralnych i czynienia ich nietykalnemi nie wystarcza, albowiem łatwo się przekonać, że wielu jednostkom taki wewnętrzny, bezwiedny rozkaz moralny, takie poczucie różnicy między złem a dobrem, jest zupełnie obcem, a nadto ma ono cechę cudowności i już choćby przez to samo, trwałą podstawą etyki być nie może. Porządek prawny wreszcie, który tu i owdzie chcą mieć za wystarczający całkowicie do okiełznywania niskich namiętności, również praw moralnych nie zastąpi, wywiera bowiem często wewnętrzny, formalny przymus. Na miejsce wszystkich tych wypartych powag realizm ostatnich czasów doradza taką zasadę moralności, któraby nie miała nic wspólnego z życiem pozagrobowem a była pomimo to na tyle potężną, iżby obowiązywała niemniej silnie od wiary i intuicyi — innemi słowy: proponuje moralność pożytku, powszechnego dobra, czyli t. z. utylitaryzm. Dotąd utylitaryzm nie umiał zdobyć się na taką podstawę, któraby we wszystkich wzbudzała dlań poszanowanie, a to dlatego, że nie wierzono, by przeciwieństwo samolubstwa: altruizm, ten prawdziwy rdzeń moralności, dał się pogodzić z wyłączną czcią dla rzeczy doczesnych, ludzkich i dopiero Darwin i Spencer wykryciem i udowodnieniem dziedziczności rasowej umocnili na zawsze fakt, że uczucie miłości bliźniego przez wiekowe nagromadzanie się i potęgowanie doszło do takiej siły, iż można mu zupełnie zaufać, nie pytając wcale, czy jest natchnionem przez wiarę, czy samoistnem.

Dzieło Spencera zbyt wielką ma doniosłość i poglądy p. Kozłowskiego zbyt ważnego dotyczą przedmiotu, by w ramach sprawozdania można było wdawać się w ich rozbiór.

Z zakresu innych nauk zasługuje na uwagę studyum dra Emila Mayersona *O matematyce starożytnych egipcyan*. Opiera się ono na badaniach nad papyrusem Rhind, który, niedawno znaleziony, już stał się przedmiotem całej niemal literatur i świadczy o wysokim rozwoju matematyki u dawnych mieszkańców nilowych wybrzeży.

Do prac bardziej okolicznościowych należy artykuł p. Oskierki *O spółkach handlowych naszych rolników*; większych już rozmiarów studyum p. K. P. o dziełach J. Supińskiego z okazyi ponownego ich wydania i wreszcie *Elektrotechnika na wystawie wiedeńskiej* p. Br. Reichmana.

N. H.

LIBERUM VETO.

Przewracanie się kręgli. — Bankructwa. — Zastój w handlu. — Korzyść z uwolnienia p. Kusocińskiego. — Lepszy kredyt na 5 proc. miesięcznie, niż żaden. — Powieść dziecinnej fantazyi. Prawdziwe nieprawdopodobieństwa. — Coby powiedział najpobłażliwszy krytyk. — Wpływ p. Kusocińskiego na beletrystykę. — Nadzieja usłyszenia sądu potomności. Ani jedyna, ani najlepsza droga. — Rumianek i różane krople.

Kolęda, odspiewywana obecnie przez świat handlowy, wesołą nie jest, a nawet dawno już chyba nie miała tylu nut żałobnych. Firmy walą się jak kręgle, gdy w nie wpadnie bilardowa kula, a niejeden zamożny kupiec będzie mógł dać swym dzieciom na gwiazdkę—zaprotestowane weksle. Hańba oszustom, który wypompowawszy udzielony im kredyt, zlewają skradzione zyski w ukrytą przed wierzycielami beczkę, ale żal ludzi rzetelnych, którym niszczący wicher rozwala domy i rzuca w nędzę. Bo nie ulega wątpliwości, że między bankrutami i tacy są. Nie mieli oni zamiaru podpalać się dla ograbienia innych, ale szeroki pożar ogarnął również ich majątek. Tym razem pożar jest bardzo gwałtowny. Handel zmartwiał, przerażone kapitały chowają się, kredyt ucieka od najpoważniejszych przedsięwzięć, a jakkolwiek tego rodzaju przesilenia są zarazą stałą, tem niemniej każdy jej wybuch odczuwać musimy boleśnie. Paraliż rozpostarł się po wszystkich organach handlu. Nawet krzykliwy jarmark gwiazdkowy, na którym zawsze występuje pstrokaty i wesoły tłum zabawek dziecinnych, przebiega cicho i smutnie. Różnobarwne książki nie zapełniają obficie wystaw, nieliczny ich zastęp daremnie wabi ojców i matki. A bieda musi być wielka, gdy ją dzieci czują.

Wobec braku gotówki prawdziwem dobrodziejstwem nazwać można pozostawienie na wolności za kaucyą p. Kusocińskiego przed uprawomocnieniem się wyroku. Szanowny ten mąż bowiem, którego tryumfy w pikiecie pochłaniały przez kilka dni uwagę publiczności warszawskiej, jak się okazało ze śledztwa sądowego, pożyczał na 5 proc. miesięcznie, ale pożyczał. Tymczasem dziś najuczynniejsi lichwiarze zamykają pedobno drzwi nawet przed dwa razy większym procentem. Oby więc sprawa p. Kusocińskiego przyszła do rozpoznania Izby sądowej nie prędzej, aż minie brak gotówki.

Szanowny ten filantrop, który z taką dumą przypominał swoje „zasługi dla państwa“ z przed 20 laty i cnoty swego ojca z przed 50 (co mu jednak przed sądem nie pomogło) ma dla mnie jeszcze inne znaczenie. Dzięki jemu przejrzałem, a skutkiem tego publicznie odwołuję wszystkie zarzuty, jakie kiedykolwiek robiłem powieściopisarzom za nieprawdopodobieństwo pomysłów, i przysięgam, że nigdy ich o to nie oskarżę.

Istotnie życie jest fantastyczniejsze, niż wyobraźnia. Przypuśćmy, że najpobłażliwszy krytyk czyta powieść następującej osnowy. Był sobie człowiek, który nietylko położył pewne „zasługi,“ ale dostał dymisyę z urzędu za fałszerstwa służbowe, uprawiał lichwę, znajdował się pod śledztwem za szulerkę i cieszył się szeroką sławą „zbyt szczęśliwego gracza.“ Z tym człowiekiem zawiązali stosunki bardzo porządni ludzie, którzy znając jego wartość, ściskali go za rękę, jak mnie i ciebie czytelniku, a wiedząc już nawet o jego „mistrzowstwie w pikecie nie unikali sideł. Dostrzegali, że nie zrzucał prawidłowo kart, że fałszywie liczył punkty, że swych partnerów sadzał pod nachylonem lustrem, że zakładał kapelusz na głowę, ażeby mu światło nie przeszkadzało w oglądaniu odbicia, że gdy nie pomogły inne sztuki, pokazywał współgrającym pięknego kanarka pod sufitem lub ładnego pieska pod stołem, których nigdy nie było. Szemrali oni na tę metodę po cichu, ostrzegali się wzajemnie, opowiadali sobie dawne dzieje gospodarza, zauważyli nawet, że on deklaruje cztery walety, chociaż jeden z nich znajduje się w ręku partnera — i mimo to wszystko grali z nim. Wogóle byli to ludzie nadzwyczaj wyrozumiałego serca. Jeden z nich przyszedł pożyczyć 150 rs. P. Kusociński posłał po pieniądze a tymczasem wziąwszy od gościa przygotowany weksel, zaproponował partyjkę, która się skończyła dla niego wygraną całej niemal sumy. Drugi, osmalony dobrze przez „mistrza,“ z którym widział się przy odjeździe z Warszawy, spotkał go w Brześciu a chociaż go to zdziwiło, dał mu się wciągnąć do gry, w której stracił dziesiątki tysięcy rubli. Nareszcie znalazł się jeden, którego zniecierpliło lustro, kapelusz, kanarek, pies oraz inne objawy „zbytniego szczęścia“ i który opisał je prokuratorowi. A teraz zapytajmy, co o tej osnowie powiedziałby najpobłażliwszy krytyk?

Powiedziałby tak:

Autor bajki o Kusocińskim kpi sobie z czytelników, albo jest naiwniejszym od nich. W społeczeństwie tak wrażliwem na moralność, jak nasze, nie znalazłoby się między ludźmi uczciwymi tylu łatwowiernych, którzyby utrzymywali stosunki z takim szulerem i pozwolili mu się ograbiać wobec oczywistych dowodów podstępu. Pomysł z lustrem, kapeluszem, kanarkiem i pieskiem, scena spotkania w Brześciu—wszystko to zakrawa na grubą niedorzeczność i w najlepszym razie godnem jest fantazyi dziecka. Czy podobna zmyśleć coś naiwniejszego nad szczegół, że mistrz w pikiecie liczył sobie cztery walety, kiedy jeden z nich był u partnera, który przeciw temu nie zaprotestował? Ta bajka wszakże ma dobrą stronę: głupstwami swemi przekonywa, że u nas niema Kusocińskich i że kto ich chce koniecznie mieć, nie może nawet z rysami jakiejkolwiek podobizny stworzyć.

Tak brzmiałby wyrok krytyczny. Autor powieści zostałby niewinnie ochłostany i odesłany na poprawę do Osad rolnych a rodzimy Zola uśmiechnąłby się nad nim szyderczo. I za co ten biedak byłby potępiony? Za to, że wiernie fotografował z życia, że mówił prawdę!

Powtarzam uwagę: życie jest fantastyczniejszem, niż najbujniejsza wyobraźnia. Obawiam się jednak, ażeby p. Kusociński nie wywarł złego wpływu na naszą belo-

trystykę. Bo po tem, co słyszeliśmy w sądzie, wszelkie wątki powieściowe mogą nam się wydawać prawdziwe. Kto wie, czy wkrótce nie narodzi się utwór, który nam opowie, że polscy doradcy pokątni dostarczają głównego zastępu złotej młodzieży paryskiej, zwanej obecnie *Ah*!

Już nawet zaczynają się przed naszemi oczami przesuwać nieprawdopodobieństwa. Przy jednem z pism odebrałem prospekt słynnie głupkowatego tygodnika, który tak apeluje do przyszłości: „Sąd zresztą nie do nas należy; niech go wyda *kiedyś ogół* bezstronny.“ No, proszę, i ta żabka przypuszcza, że *kiedyś* zajmować się nią będzie „ogół bezstronny!“ Ależ, miły panie, jeśli wieść o twoich banialukach współcześnie dojdzie do Ostrołęki, bądź zupełnie zadowolony, a o tem, żeby niemi „kiedyś“ się zajmowano, nie marz. Zawijek do pieprzu ogół dla potomności nie chowa, bo ona będzie miała dosyć własnych.

Wielkie to szczęście, że znaczna część papierków dziennikarskich przepływa z falą bieżącą i ginie. Inaczej wnukom naszym byłoby bardzo przykro wiedzieć, co ich przodkowie bredzili. Zarobi na tem niewątpliwie i p. A. M. korespondent warszawski jednego z zagranicznych pism polskich. Niech mu tam Bóg nie pamięta tego, co w gorączce pobożności mówi o prasie postępowej, ale muszę go uwolnić ze współczucia dla nas. Wspominając o sporze między Gumplowiczem a Duninem w sprawie żydowskiej, pisze: „*Prawda* nie mogła wykrztusić słowa, nasuwającego się na myśl każdemu konsekwentnie (!) myślącemu człowiekowi, że *jedyna* droga rozwiązania kwestyi żydowskiej jest w uchrześcianieniu tego ludu.“ Może ta kość uwięzła w czyjemś gardle, w naszem z pewnością nie. Jest to niewątpliwie „droga,“ ale nie „jedyna“ i nie najlepsza. Najwymowniejszego dowodu dostarczają właśnie antisemici, którzy tem samem błotem rzucają na przechrztów, co i na żydów. „Gdzież ta logika?“ że użyję wykrzyku p. A. M. Niegrzeczne pytanie. Bo w aptece naszych antisemitów bezsensu jest tyle, co rumianku, a rozumu mniej, niż różanych kropli.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Drzewo wigilijne i ojczyzna. — Pan Gnatowski Jan i krótki jego życiorys. — Błogosławieni są cisi. — Spółka rolnicza płocka. — Ekonom prusak i Bismark. — Prośba kupców tomaszowskich i moje wstawiennictwo.

Drzewko wigilijne żywo przypomina mi moją ojczyznę. Na niwie naszego życia, zakrzepłej pod lodem konserwatyzmu, zasadziliśmy mnóstwo wiecznie zielonych złudzeń. Na gałązkach zieleni zawiesiliśmy dla naszych starych dzieci wiele pięknych podarków. Pozłacane orzechy tradycyi, kartonowi husarze, słodkie karmelki taniego patryotyzmu, a po nad tem wszystkiem bernardyński pasek i dyscyplina — symbol wierności i zgody wabią ku sobie grzeczną dziatwę. Obdarowani mogą nadto przyglądać się szopkom, w których dyabeł porywa zwykle duszę postępowca, zarażoną, rzecz prosta, kosmopolityzmem. Przedstawienie kończy się, jak należy — kwestą.

Ile razy prąd ożywczej myśli porozrzuca malowane świecidła, zawsze gorliwi pachołkowie wstecznictwa porządkują swój warsztat. W tej chwili do takiej właśnie roboty zabrał się w *Bibliotece Warszawskiej* p. Jan Gnatowski. Nie chcąc przerażać czytelników nowością nazwiska, podaję tu krótki życiorys tego męża.

Gnatowski Jan nadwiślanin. Pacholęciem będąc, potykał się mężnie pod sztandarem *Ateneum*. Spostrzegłszy jednak, iż ma do czynienia z dziećmi Baala — wszedł do zakonu „stróżów tradycyi“ i przywdział włosienicę w świątyni *Biblioteki*. Tam walcząc piórem, o ile mu praktyki religijne pozwalały, napadł odważnie na nieprzyjaciółkę wiary ojców naszych — Maryę Konopnicką...

Duszę poetki, jak wiadomo, raniły najboleśniej te łzy, które się kryją pod słomianą strzechą. Słońce plebanii osuszyć ich nie mogło dotychczas zapewne dlatego, że słoma jest złym przewodnikiem jego ciepła, promienie cywilizacyi nie przebiły jeszcze wyższych warstw atmosfery społecznej. Cokolwiekbądź, niedola ludu ucieleśniła się w pieśniach Konopnickiej. Czy ją natchnęły blade duchy ofiar pańszczyzny, czy głodne widma dzisiejszych przednówków—mniejsza o to. Z drzewa naszych złudzeń chciała poetka zrzucić niedorzeczne malowanki, na których siermięga poci się w serdecznym uścisku z tużurkiem a chata odpowiada dworowi: *bon jour mon frère*. Nieufność niższych warstw do wyższych jest widmem, którego żaden proboszcz w wolnych od pikiety chwilach kropidłem nie zażegna. Wskazywanie tej rany społeczeństwu i nawoływanie o środek zaradczy jest obowiązkiem naszej prozy i naszej poezyi. Niepotrzebnie więc p. G. usiłuje na nowo zawiesić zrzucone przez Konopnicką bohomazy—niesłusznie z drogi chce ją zawrócić.

„Niejeden olśniony fałszywymi blaskami jakiejś komety zwodniczej, w której zdaje mu się, że widzi gwiazdę przewodnią swego pokolenia, biegnie za nią olśniony i rozszalały przez bagna i przepaście, rzucając przez nie mosty z pereł i dyamentów (co za architektura!). Za nim z przeciwnej strony (to niby w redakcyi *Biblioteki*) złocą się i czerwienią pierwsze promyki jutrzenki.“

Na jednym z tych promyków zstąpił do nas pan Gnatowski Jan; ale myli się, sądząc, że ma do czynienia z prawdziwem światłem. Nie i jeszcze raz nie! Nie w murach klasztornych, za którymi wzdycha recenzent, złożyło pokolenie dzisiejsze swoje sztandary. My, szanowny panie, chcemy się leczyć—dlatego potrzeba przedewszystkiem wiedzieć, co nas boli.

O zapędzaniu poetki do katechizmu — mówić tu nie mogę, gdyż nie należąc do redakcyi *Biblioteki*, w teologii biegły nie jestem. Chodziło mi tylko o sprostowanie tych poglądów, których niesłuszności dowodzą spostrzegane przez moją „perspektywę“ zjawiska. Z teologii zresztą pamiętam jeszcze słów kilka: „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię.“ Co do naszych „największych“ na polu pracy społecznej, to przepowiednia o posiadaniu ziemi sprawdziła się na nich oddawna. Jak się okazuje jednak, właśnie owa zbyteczna cichość wielu z nich może zaszkodzić.

Od pewnego czasu toczą się w naszej prasie rozprawy nad tem, czy oszacowanie posiadanej przez obywatela ziemi ma się odbywać po cichu, czy też całkiem głośno i jawnie. Rozstrzygnięcie sporu nie jest obojętnem dla instytucyj, zbierających podatek gruntowy. *Korespondent Płocki*, przewidując niemiłe dla ziemian zajście, mogące wyniknąć z ukrywania istotnej wartości majątku, doradzał swym „posiadającym“ czytelnikom większą roztropność. Zatrwożonych „cichych“ posiadaczy postanowił pocieszyć p. M. Godlewski — rozumie się w *Niwie*. Twierdzi on, iż rewizya tabeli szacunkowych przechodzi granicę władzy izb obrachunkowej i skarbowej, że więc strachy mogą iść na lachy. Wielką wątpliwość z tego powodu wyraziła *Gazeta Lubelska*. Nakaz rzetelnego szacowania gruntów nietylko przez władze odnośne wydanym był przed kilku laty, ale, co gorsza, za niewykonanie go grożono tam karą. Dziwi mię tylko, dlaczego żadnemu z pism nie przyszło na myśl zapytać po prostu: Panowie ziemianie, czy w obrachunkowej izbie waszego sumienia jest jaki rachmistrz, czy też posiadacie tam tylko stróżów skarbu?

O ile życie u nas słabem odzywa się tętnem, sądzić można z tego, że często otwarcie nowego sklepu daje naszym pismom prowincyonalnym powód do gwałtownej radości. W Płocku niejaki p. Jasieński założył teraz „sklep rolników.“ Miejscowa gazeta, widząc w tem owoc ciągłych swych nawoływań do pracy na polu przemysłu i handlu, przepowiada płoczczanom lepszą przyszłość. Co do osławionej spółki rolniczej płockiej, tułającej się oddawna po wszystkich naszych dziennikach, to szanowny organ mazowiecki jest o niej pełen dobrej otuchy. Co prawda, to do urzeczywistnienia upragnionych planów, jak dzisiaj, brak tylko kapitałów. Mają one przybyć na wiosnę. W każdym razie ta piękna pora roku nie omieszka zaopatrzyć mazowszan w nową dozę... złudzeń i projektów.

Do czego nie trzeba nas nigdy zachęcać i nawoływać, to do politykomanii. Epidemia ta, cechująca wszystkich Tantalów, przechodzi już u nas i do warstw niższych. Łęczycki korespondent *Wieku* dostarczy nam potrzebnej ilustracyi. W okolicy przez niego zamieszkałej wszczęła się niedawno „polityczna“ dysputa pomiędzy pewnym dygnitarzem gminnym a ekonomem folwarcznym. Przedmiotem rozmowy był... Bismark. Ekonom, jako „prawowierny słowianin,“ wymyślał niemcom i nie oszczędził ich chluby narodowej. Dostojnik gminny, prusak, stanął w obronie żelaznego księcia. Nie mogąc przekonać przeciwnika słowami, uciekł się do argumentu pruskiego — pięści. Obecnie sprawa wytoczyła się przed kratki sądowe. Ciekawa rzecz, czy dla usprawiedliwienia prusaka sędziowie powołają się na jego patryotyzm?

Tomaszów rawski, za pośrednictwem przytoczonej gazety, zanosi prośbę do naszych finansistów, aby ciągłemi swemi bankructwami nie rujnowali drobnych jego kupców i przemysłowców. Gdybym wiedział, że moje słowa będą miały „finansową“ wartość, to bym się wstawił za młodszą bracią do potentatów. Dzisiaj wątpię o dobrym skutku, gdyż przemówić mogę tylko w imię honoru, ale nie kupieckiego.

Maryan Bohusz.

Kalisz. Od pewnego czasu włóczy się po mieście żebrak, którego powierzchowność i ruchy zdradzają lepsze wychowanie. Jegomość ten, wchodząc do przedpokoju, przedstawia karteczkę opatrzoną herbem, z rymowaną prośbą o wsparcie. Na wszelkie uwagi odpowiada z dumą: „Wychowano mnie w dostatkach i nie przyzwyczajono do pracy, zresztą jestem szlachcicem.“

Kutno. Miasto oddalone jest przeszło o wiorstę od dworca kolei żelaznej, na którym istnieje filia stacyi pocztowej. Pasażer, przybywający do Kutna koleją i zamierzający dalej udać się końmi, jest w niemałym kłopocie. W filii bowiem przyjmują zamówienia, odbierają pieniądze i wydają kwit, poczem dopiero proponują podróżnemu, żeby albo sam się „pofatygował“ po konie, albo żeby najął do tego posłańca, którego, nawiasem mówiąc, często nie ma wcale.

Grodno. Obszerne dobra kosowskie, do których należy i Mereczowszczyzna, miejsce urodzenia Tadeusza Kościuszki, obejmujęce przeszło 20,000 morgów nabył za 600.000 rs. niejaki p. Koth, pomocnik isprawnika (naczelnik powiatu).

Bałta. Osiem dziewcząt, powracających do domu z cukrowni, zanocowało w polu, a ta, która miała przy sobie pieniądze wszystkich, ukryła się w stogu siana. W nocy trzech robotników z tejże cukrowni napadło na nich. Siedem zostało zamordowanych, ocaliła się tylko ta, która spała w stogu i była świadkiem strasznej sceny. Ona to poznała złoczyńców, których na drugi dzień zaaresztowano.

Krzemieniec. Podczas posiedzeń sądu okręgowego, kiedy rozprawy toczyły się przy drzwiach zamkniętych, dwóch oficerów chciało gwałtem wejść do sali. Komisarz sądowy stawił silny opór, tak że jeden z napastni-

ków potrącony upadł. Na drugi dzień obrażony przysłał komornikowi wyzwanie, ten zaś zakomunikował je prezesowi, twierdząc, że właściwie wyzwany jest cały sąd, w imieniu którego on działał. Z tego wytoczyła się sprawa i awanturniczy synowie Marsa musieli podać się do dymisyi.

— Starzec 70-letni za zbiegostwo z ciężkich robót skazany na dożywotnie więzienie, po ogłoszeniu mu wyroku i oznajmieniu, że tenże w ostatecznej formie zostanie mu doręczony nazajutrz, pochwycił nóż i wykrzyknąwszy: „bodajeście i wy tak doczekali jutra, jak ja“ — poderżnął sobie gardło.

Żyzmory. Podczas poboru do wojska miały miejsce liczne awantury z anti-semickim charakterem. Włościanie rabowali sklepy, tłukli szyby w domach żydowskich a spotkanych na ulicy izraelitów bili i nurzali w błocie. Powodem do tego jest rozpowszechnione wśród ludu mniemanie, że wskutek usuwania się żydów od służby wojskowej biorą do niej więcej chrześcian, aniżeliby należało.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 19 grudnia.

Wizyta następcy tronu niemieckiego w Rzymie.—Mowa gen. Wolseleya—Powstanie w Arabii. — Nowy kredyt na wyprawę tonkińską. — Nota rządu serbskiego.

Zapowiadany wielokrotnie i znów odwoływany przyjazd następcy tronu niemieckiego do Rzymu stał się wreszcie faktem. Pomimo zapewnień półurzędowej i narodowo-liberalnej prasy, zdaje się, że odwiedziny te mają raczej na celu papieża, aniżeli króla włoskiego. W gmatwaninie najsprzeczniejszych zdań trudno doszukać wątku pobudek, jakie skłoniły pruskiego księcia do tego kroku. Jedni przypisują mu zamiar ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyi kościelnej w Niemczech, drudzy widzą w tem tylko akt prostej grzeczności, inni próbę pogodzenia rządu włoskiego z Kuryą. Bądź co bądź, nowy to krok na drodze do Canossy — i w tej myśli zapewne centrum cofnęło a raczej odroczyło swe wnioski, podane do parlamentu. Powstrzymujemy się do czasu przybycia bardziej szczegółowych wiadomości ze zdaniem w tej sprawie; dzisiaj zwrócimy jedynie uwagę na przedwstępne układy z Kuryą, dotyczące samego aktu odwiedzin. Papież okazał się niezbyt uprzejmym gospodarzem i watykańskie dzienniki, głosiły jawnie, że jeśli następca tronu zatrzyma się w Kwirynale, wizyta jego nie będzie przyjętą. Postanowiono więc usunąć ten szkopuł. Nie mógł książę również zamieszkać w poselstwie niemieckiem, bo i to sprzeciwiało się prawidłom etykiety. Dyplomacya watykańska umiała jednak wybrnąć z tych trudności. Zwołane umyślnie zebranie dostojników kościelnych zawyrokowało, że klątwa ciążąca nad Kwirynałem nie dotyka jego pawilonów, w jednym więc z nich książę zamieszkać może. Skrupulatność posunięto do tego stopnia, że w ceremoniale odwiedzin zastrzeżono, iż następca tronu po wizycie u króla powróci do swego mieszkania i stamtąd dopiero uda się do papieża. Syn najpotężniejszego z władców europejskich poddał się wymaganiom tej prawdziwie chińskiej etykiety, którą namiestnik boso chodzącego, powrósłem przepasanego Chrystusa, stara się podtrzymać swoje zachwiane stanowisko duchowego monarchy.

Z drugiej strony przedsięwzięto odpowiednie środki, ażeby nie obrazić włochów i nie dać opozycyi w kraju powodu do narzekań. Minister wyznań, który miał towarzyszyć następcy tronu w podróży do Rzymu, w ostatniej chwili cofnął swój wyjazd. Płatna prasa otrzymała polecenie tłomaczenia całej sprawy opacznie. Ale jej zapewnienia nie przekonają nikogo i dziś już lewica włoska niechętnem patrzy okiem na te konsekwencye włosko-niemieckiego przymierza.

Anglicy należą przeważnie do owych ciężko, ale głęboko myślących ludzi, którzy dopiero po pewnym namyśle wypowiadają swe zdanie, wtedy najczęściej, kiedy inni zapomnieli już o poruszonej kwestyi. Przed kilkoma tygodniami wrzała zacięta walka na słowa w całej prawie Europie: mówiono o przygotowaniach wojennych, zawiązywano przymierza i pesymiści, pomimo zbliżającej się zimy, widzieli na widnokręgu politycznym groźne widmo wojny. Teraz dopiero, gdy zawierucha przeminęła a stosunki międzynarodowe ułożyły się względnie pomyślnie, nagle generał Wolseley w mowie do ochotników oświadcza, że czas jej wybuchu jest bardzo bliski i że Anglia powinna odegrać w niej stanowczą rolę. Szczere to, żołnierskie wyznanie zadziwiło wielce wszystkich dyplomatów.

Zanim jednak Anglia przyjmie udział w ogólnej walce, musi przedtem zabezpieczyć własne swe interesy, którym rozwijające się powstanie nad Nilem niemałą przynieść może szkodę. Wojska egipskie okazują się niedostatecznie silnemi do stłumienia rokoszu, który rozlewa się coraz szerzej. Ostatnie depesze przynoszą wiadomość o podobnych ruchach w Arabii. Flota turecka wespół z angielską dla przerwania komunikacyj udają się na wody morza Czerwonego. Energiczne wystąpienie okazuje się koniecznem, zwłaszcza że z Arabii ruch muzułmański łatwo przenieść się może do Indyj.

Według nadeszłych z Kochinchiny wiadomości, niepotwierdzonych jeszcze urzędownie, sprzyjający Francyi cesarz anamski został otruty. Rząd wysyła posiłki do Tonkinu i zażądał od izb nowego kredytu na sumę 20,000,000 franków. Stosunki z Chinami nie uległy żadnej zmianie.

Rząd serbski rozesłał notę, w której szczegółowo wylicza, ilu powstańców powieszono, a ilu ułaskawiono (termin ten oznacza zamianę kary śmierci na więzienie). Na uwagę zasługuje wyzywająca otwartość, z jaką król Milan przypisuje wywołanie ruchu podszeptom agentów jednego z wielkich mocarstw. Oskarżona strona na zarzuty te prawdopodobnie nie odpowie wcale.

Rzym. Następca tronu udał się do Watykanu w karecie posła przy Kuryi—Schlötzera, a wyjechał z ambasady niemieckiej. Komedya z „więzieniem“ papieża została zachowaną przez to, że książę przedstawił się jako królewicz pruski, nie zaś cesarzewicz niemiecki i że go rewizytował kard. Jacobini w lokalu poselstwa, gdzie go nie zastał. W rozmowie z Leonem XIII nie wspomniano wcale o pobycie księcia w Kwirynale. To się nazywa—naśladować Chrystusa!

Sofia. Zabranie narodowe przyjęło projektowane zmiany w konstytucyi. Izba wyższa składać się będzie z 45 członków a Izba niższa ze 100.

Wiedeń. Podczas zebrania socyalistów w Florisdorfie zabito komisarza policyi Hlubeka.

Londyn Zabójca Carey'a, O'Donnell, został powieszony.

CUDZE GŁOSY.

Nagana. *Ruskij Kurjer* przytacza długą tyradę, wymierzoną przez *Nowoje Wremia* przeciw rusinom. Powód dało wystąpienie młodych narodowców na jubileuszu Miklosicha:

„Nie godzi się puszczać płazem—powiada petersburski dziennik—objawów publicznych nieprzyjaźni dla starszego narodu słowiańskiego. Karą za to będzie pogarda ze strony wszystkich rozumiejących sprawę i korzyści z niej wynikające. Nie omyliliśmy się zresztą w kwestyi, co to są za jedni ci podżegacze w demonstracyach przeciw Rosyi i w czyjem ręku część młodzieży rusińskiej stała się biernem narzędziem waśni słowiańskiej. Są to wiecznie ci sami, którzy wytworzyli zeszłoroczną sprawę lwowską, którzy trzymają w niewoli i ucisku patryotę rusińskiego Naumowicza. Są to ci, co rządzą obecnie gospodarką austro-węgierską, a jak się wyraża *Słowo* — „biada tej gospodarce, którą rządzą ci, co stracili własne mienie.“ Zatraciwszy przez wiekuiste spory własną niezależność, prowadzą dziś i rusinów do tego samego celu. Oto dokąd dążą rusini.“

Ruskij Kurjer dodaje od siebie krótką uwagę, którą za *Gazetą Polską* powtarzamy.

„Z komiczną powagą upomina *Nowoje Wremia* tych uczestników odbytych w Wiedniu na cześć Miklosicha uroczystości, którzy odpowiadając na mowę Dudykiewicza Rosyi, wspomnieli naturalnie i o Syberyi, i wyznali, iż współczucie ich dla Rosyi nie dosięga aż takiego stopnia, żeby się mieli zachwycać — nawet Sybirem oraz życiem sybirskiem i jego porządkiem.“

Rzeczywiście, takiej abnegacyi nie żąda nawet chyba p. Aksakow, chociaż jest to czysto sławiańska cnota i chociaż mąż ten opiewał wierszem przyjemności i pożytki „mimowolnego“ pobytu swego w Saratowskiej gubernii.

Pruskie porządki. Kijowska *Zaria* podaje fakt, ogłoszony przez dzienniki belgijskie, o którym gazety nasze milczą. Korespondent z Poznania antwerpeńskiej gazety *Precurseur* pisze:

„Przez dwa dni chorowałem wskutek strasznego wypadku, jakiego byłem świadkiem. Policya zatrzymała biednego polaka, proszącego o jałmużnę. Żebrak nie chciał iść do policyi i zaczął bójkę z dwoma agentami. Nie mogąc mu dać rady, policyanci przywołali na pomoc swych kolegów, którzy przybiegli wraz z kilkoma uzbrojonymi żołnierzami. Ci rozpędzili gromadzący się tłum. Nagle jeden z policyantów, rozzłoszczony oporem żebraka, zakomenderował żołnierzowi uderzyć go bagnetem. Cios ugodził w serce i polak upadł nieżywy. Działo się to w biały dzień, na ludnej ulicy, wobec tysiąca widzów. Widziałem to wszystko przez okno, jedyny ostatni krzyk nieszczęsnego brzmieć mi będzie w uszach przez całe życie. Tłum, zatrzymywany przez żołnierzy, nie śmiał protestować. Trupa obwiązano postronkiem i rzucono jak psa na przejeżdżający wóz. Oto co się dzieje w Niemczech w końcu XIX wieku.“

Post i *Nord. Deut. Allg. Zeitung* nazywają to opowiadanie przesadzonem i nieprawdopodobnem. Ten drugi zarzut upada, jeżeli przypomnimy sobie, że przed czterema laty w Berlinie na placu szyldwach zastrzelił w dzień maleńkie dziecko. O fakcie tym rozprawiano podówczas w parlamencie. Pożądanem byłoby, żeby gazety polskie w Poznaniu wyjaśniły, o ile podana przez belgijskie dzienniki (mówi o tem i brukselska *Chronique*) wiadomość jest prawdziwą.

Kto ma słuszność. Na ostatniem przedstawieniu małoruskiej trupy Kropiwnickiego w Kijowie zachwyt publiczności doszedł do najwyższego stopnia. Wybitniejsze ustępy z opery *Czornomorci* — Łysienka powtarzać musieli artyści kilkakrotnie. W trzecim akcie zapał przeszedł wszelkie granice, gdy zatańczono kozaka. Publiczność rzuciła się na scenę, z galeryi zbiegła młodzież; kompozytora i aktorów podrzucano w górę, wszyscy zmieszli się w jedną tańczącą i krzyczącą gromadę. Policya nie zdołała zapobiedz temu, dopiero zagaszenie gazu położyło koniec owacyi. Artystów odprowadziła młodzież do domu i długo jeszcze w nocy brzmiały po ulicach na cześć ich okrzyki. *Kijewlanin* i pokrewne mu organy prasy nie posiadają się z gniewu i piorunują na kijowską publiczność, nieszczędząc przeróżnych insynuacyj. Uczciwsze dzienniki, do których tym razem przyłączyło się i *Nowoje Wremia*, widzą w tem objaw zupełnie naturalny uczuć, sztucznie zbyt długo tłumionych, „reakcyę sprężyny zbyt mocno ciśniętej a obecnie puszczonej wolno.“

W odpowiedzi na to objaśnienie *Nowego Wremieni*, *St. Petersb. Wiedomosti*, między innemi tak piszą (*Gazeta Polska*):

„Zachwyt, który poprzedził brutalne sykanie przeciw komedyi, napisanej w języku, ogólnie używanym, rosyjskim, był demonstracyą o tyle sztuczną, o ile sztucznem jest samo kółko, co ją urządziło... Można rozprawiać o wolności, o mowie ludowej, ludowej poezyi rozumieć przez to rozwój, choćby kosztem skarbu, dążności sztucznie wytwarzanych i dla państwa szkodliwych. Któżby co mógł upatrywać do mowy i poezyi ludowej? Ale ostro występować zawsze należy przeciw tak zwanemu kierunkowi „chochłomańskiemu.“

Trzecia korekta. Elementarne pojęcie honoru nakazywałoby milczeć organowi, którego redaktor postawiony został pod zarzutem, dopóki ten zarzut nie będzie przez jakikolwiek sąd rozpoznanym. *Kraj* jest przeciwnego zdania i rozmazując brud, chce z niego przed wyrokiem wyrobić wonny olejek. W ostatnim numerze tego pisma znajduje się znowu wykrętna i brutalna replika pp. M. Kotarbińskiego i J. Szyszły. Dwaj ci młodzi panowie mogą się szczycić, skoro chcą, zaufaniem p. Piltza, ale za zbyt wiele wagi przypisują sobie, a za mało jej lekceważenia nam, sądząc, że poprowadzimy z nimi taką polemiczną walkę. Niech piastują „honor“ swego redaktora, my ograniczymy się tylko na oszacowaniu tego klejnotu w Sądzie Okręgowym, tj. tam, gdzie go p. Piltz bronić pragnie.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Z Sądu. Nie w październiku, nie do prokuratora, nie o potwarz, jak zapowiedziano w *Kraju*, ale po kilkotygodniowym namyśle, w listopadzie, do Sądu Okręgowego i o dyfamacyę podał p. E. Piltz skargę przeciwko redaktorowi naszego pisma, na mocy której sędzia pokoju IX rewiru wezwał strony do t. zw. pojednania. Pełnomocnik nasz adw. Karol Dunin oświadczył naprzód, że uważa za zbyteczne czytanie skargi, gdyż ona w niezliczonych odpisach obiega po Warszawie. Co zaś do proponowanego w niej sądu honorowego zgadza się pod dwoma warunkami: 1) ażeby sędziowie nie pozostawali względem swych stron w stosunkach: pokrewieństwa, przyjaźni lub zależności, oraz 2) ażeby obu stronom wolno było ogłosić *objektywnie* przebieg sprawy, dowody, zeznania świadków i wyrok *bez komentarzy*. Adwokat p. E. Piltza, p. W. Pronaszko, warunków tych nie przyjął, gdyż, jak twierdził, nietylko w Król. polskiem, ale w całej Europie niepodobna byłoby znaleść sędziów zupełnie bezstronnych (odpowiedź dla nas niejasna) a sprawozdanie p. Świętochowskiego, pomimo jego chęci, nie mogłoby być ściśle objektywnem. Na to p. K. Dunin wymienił szereg ogólnie szanowanych ludzi, którzy nawet (jak R. Wierzchiejski) pisują do *Kraju*, a na których sąd jego mocodawca by się zgodził, zauważywszy przytem, że ponieważ skarżący i skarżony są redaktorami pism, warunek więc jawności daje obu korzyść i swobodę równą, co p. Pronaszko odparł, że *Kraj* nie ma na to miejsca.

Skutkiem tej niezgody sprawa przeszła do Sądu Okręgowego, który nie broni p. Piltza od bezstronności, ale według jego mniemania zaocznego ubezpiecza go przeciw jawności. Częściowo dlatego, że p. Piltz chcąc uniknąć wszelkiego przedstawienia zeznań i dowodów, uzasadniających ciążący na nim zarzut, skarży nie o potwarz, ale o dyfamacyę (zniesławienie). Czy sąd podzieli to zapatrywanie — zobaczymy. Tymczasem polecamy uwadze czytelnika dwa fakty: p. Piltz nie chce sądu honorowego *bezstronnego* i *jawnego* a odmowę swoją między innemi usprawiedliwia obawą o... sędziów, chociaż p. Świętochowski zobowiązuje się ani przebiegu sprawy, ani wyroku nie krytykować.

Wyroki zaoczne. Ministeryum sprawiedliwości opracowywa projekt, według którego w sprawach o kradzież, w razie ucieczki oskarżonego, sądy wydawać będą wyrok zaoczny.

Nominacya. Dyrektorem Instytutu rolniczo-leśnego w Puławach mianowany został p. Ejsmond, dotychczasowy kierownik szkoły mierniczej w Pskowle.

Nowe pismo. Zamożny obywatel Pragi zamierza wydawać dziennik, poświęcony wyłącznie interesom tego przedmieścia. Pisemko takie powinno się utrzymać, chociaż warszawski jego kolega wątpi, czy ma ono racyę bytu.

Polacy w Petersburgu. Zwykle przesadzano liczbę ziomków naszych mieszkających w stolicy Rosyi. Rezultaty ostatniego spisu ludności pokazują, że do narodowości polskiej przyznało się tylko 17,627 osób, pomiędzy nimi 325 prawosławnych i zaledwie 86 żydów. Charakterystyczne cyfry!

Klasztory. W Rosyi według *Now. Wremieni* znajduje się 390 męskich i 170 kobiecych klasztorów prawosławnych. Niektóre z nich posiadają olbrzymie dochody, wynoszące na jednego mnicha po kilka tysięcy rs. rocznie. Przy klasztorach znajduje się tylko 75 szpitali a szkół niema i dziesięciu (*Gazeta Warszawska*).

Stary rękopis. Student uniwersytetu w Giessen Polkowski, znalazł w miejscowym księgozbiorze stary manuskrypt z 1609 roku zatytułowany: *Relation aller fürnemmen und gedenkwürdigen Sachen, so sich hin und wider in Polen* itd.

Kobzarz Szewczenki, wydany przed paru miesiącami w 6000 egzemplarzy, rozszedł się już zupełnie. Nakładca przygotowywa powtórną edycyę w 18,000 egzemplarzy, po bajecznie niskiej cenie — 60 kop. za duży tom o 500 stronicach. A u nas tanie wydanie *Pana Tadeusza*, odbite w mniejszej liczbie, bodaj czy nie leży jeszcze na półkach księgarskich.

Bibliografia polska. Maryan Dubiecki *Obrazy i studya historyczne*, Warszawa, Gebethner.

— Mayne-Reid *Połów potworów morskich*, przekład M. I. Zaleskiej (z 8 rycinami). Warszawa.

Zmarli. Henryk Martin członek akademii, senator, znany historyk francuski. Głównem jego dziełem jest *Historya Francyi* w 15 tomach. Zmarły był wielkim przyjacielem polaków. Pisywał wiele rozpraw polityczno-historycznych, poświęconych stosunkom słowiańskim, jak na francuza posiadał w tym względzie sporo wiadomości, chociaż naukowe jego teorye (był zwolennikiem Duchińskiego) nie wytrzymują krytyki.

— Wiktor Laprade znany poeta francuski, również członek akademii. Utwory jego odznaczają się niezwykłem mistrzowstwem formy.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. F. M. w Ol. W części ma Pan słuszność, od n. roku też papier *Prawdy* będzie znacznie lepszy i cała techniczna strona pisma ulegnie zmianie.

W Płocku. Księgarz pośrednik winien był w porę o te arkusze się upomnieć. Doniesienia bezimienne są zawsze nieprzydatne a te do zużytkowania niemożliwe.

X. Bezimienne—nie dla nas.

Stałej czytelniczce. Więc dlatego, że jeden człowiek lubi nadewszystko poziomki, a drugi wiśnie, smak nie jest zmysłem?

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Z Płocka Xy... rs. 3; Adam Chmara z Mińska gub. rs. 3.

Na wpis dla uczniów. Bezimiennie rs. 3 kop. 60.

Dla młodej rzeźbiarki. K. P. rs. 4.

Na pomnik Mickiewicza. Z Płocka Xy... rs. 3; Wład. Szuch z Pii rs. 3.

Dla biednych. Szwarcszulc z Aleksandrowa pog. rs. 1.

Kurjer Codzienny wychodzi codziennie nie wyłączając świąt i Niedziel (oprócz Bożego Narodzenia i Wielk. nocy).

KURJER CODZIENNY.

Rok czasu upłynął właśnie do objęcia wydawnictwa **Kurjera Codziennego** przez nową redakcyę. Jestto wprawdzie okres czasu nie duży, jeśli wszakże mamy go oceniać względnie do osiągniętego rezultatu, to przedstawi się on w świetle tem więcej pomyślnem.

Kurjer Codzienny stanął dziś już na silnej podstawie, drugi z rzędu w codziennej prasie polskiej co do liczby prenumeratorów, pozyskał koło publiczności, które stanowi dla redakcyi poważne oparcie i pozwala jej nietylko rozwijać się przez powiększanie i wybór sił piszących, lecz nadto utrwalić pismo jako **organ**.

Nieznającym jeszcze **Kurjera Codziennego** po jego odrodzeniu zwracamy uwagę na zamieszczony poniżej program pisma co do zawartości, który za naszem już staraniem został znacznie rozszerzony.

PROGRAM KURJERA CODZIENNEGO

(Wychodzi codziennie, nie wyłączając świąt, oprócz Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy).

1. Wiadomości urzędowe.
2. Kronika wiadomości miejskich i prowincyjonalnych, z Cesarstwa i zagranicy.
3. Powieści, opowiadania i poezyje.
4. Życiorysy znakomitości z drzeworytami.
5. Artykuły społeczne, ekonomiczne, przyrodnicze, rolnicze oraz dotyczące handlu i przemysłu.
6. Wiadomości z literatury, teatru, sztuki,—przeglądy polityczne i telegramy.
7. Kronika sądowa.
8. Feljeton.
9. Korespondencyje z Cesarstwa i z zagranicy.
10. Illustracyje do bieżących wydarzeń.
11. Logogryfy, szarady, rebusy, szachy i t. d.
12. Rozmaitości.
13. Wiadomości giełdowe, handlowe i przemysłowe.
14. Ogłoszenia.

W miarę potrzeby bezpłatne dodatki poranne.

Dwa razy na tydzień niezależnie od codziennego feljetonu. DODATEK POWIEŚCIOWY w formacie książkowym. Z dodatku tego czytelnicy będą mogli składać sobie oddzielne książki i dojść z czasem do większego zbioru wyborowych powieści. Obecnie rozpoczął „Kurjer“ w tej formie druk najnowszego romansu EMILA ZOLI p. t. ROZKOSZE ŻYCIA. Jestto utwór pełen prawdy psychologicznej i dramatycznej siły, a wolny od scen zbyt realnie kreślonych Nowi prenumeratorowie otrzymają początek tej powieści bezpłatnie.

Z dniem 1 lipca r. b. podjęliśmy nowe stereotypowe odbicie **„Encyklopedyi Powszechnej“** po cenie tylko kosztów druku i papieru.

Przy zapowiedzi wydawnictwa **„Kurjera Codziennego“** na rok 1884 utrzymujemy jeszcze nadal **wyłącznie dla prenumeratorów „Kurjera Codziennego“** te same warunki nabywania

ENCYKLOPEDYI POWSZECHNEJ

(TREŚĆ WIEDZY LUDZKIEJ)

w 12 Tomach z 2 Suplementami

za cenę niepraktykowanie nizką, a mianowicie:

Tom Encyklopedyi powszechnej objętości 30 arkuszy druku w wielkiéj ósemce za 60 kop. Z przes. pocztą 85 kop. 2 Suplementa liczyć się będą za jeden tom. Wydanie na welinowym papierze kosztować będzie po 80 kop. za tom, a z przesyłką pocztą po rs. 1 kop. 5.

Wydanie poprzednie kosztowało po rs. 1 kop. 25 za tom, obecnie więc cena dla prenumeratorów **„Kurjera Codziennego“** jest więcej jak o połowę niższa. **Kto nie jest lub nie będzie prenumeratorem Kurjera Codziennego, dzieło to nabywać będzie mógł w Księgarniach nie taniej jak po rs. 1 kop. 25 za tom a z przesyłką po rs. 1 kop. 50.** Wydanie welinowe po rs. 1 kop. 50 z przesyłką rs. 1 kop. 70.

WARUNKI PRENUMERATY

Cena Kurjera:

w Warszawie:		*na Prowincyi i w Cesarstwie:*	
Miesięcznie . .	rs. — kop. 50	Miesięcznie . .	rs. — kop. 75
Kwartalnie . .	„ 1 „ 50	Kwartalnie . .	„ 2 „ 25
Półrocznie . .	„ 3 „ —	Półrocznie . . .	„ 4 „ 50
Rocznie . .	„ 6 „ —	Rocznie . . .	„ 9 „ —

Za odnoszenie do domu dopłaca się kop. 5 miesięcznie.

Cena Kurjera wraz z Encyklopedyą:

w Warszawie:		*na Prowincyi i w Cesarstwie:*	
Miesięcznie . .	rs. 1 kop. 10	Miesięcznie . .	rs. 1 kop. 60
Kwartalnie . .	„ 3 „ 30	Kwartalnie . .	„ 4 „ 80
Półrocznie . .	„ 6 „ 60	Półrocznie . .	„ 9 „ 60
Rocznie	„ 13 „ 20	Rocznie . .	„ 19 „ 20

Adres Redakcyi: Czysta Nr. 6. **Wydawca Hipolit Orgelbrand.**

OD REDAKCYI ECHA MUZYCZNEGO I TEATRALNEGO

Przy rozpoczęciu drugiego kwartału a nowego roku wydawnictwa, zachęceni powodzeniem, **rozszerzamy znacznie dotychczasowe rozmiary pisma,** mianowicie każdy drugi numer, t. j. ten, przy którym dołączone są nuty, **ukazywać się będzie w objętości półtora arkusza druku.** Znaczne to pomnożenie tekstu pozwoli nam tem snadniej rozwinąć i urozmaicić treść **Echa**, tudzież wywiązać się z przyrzeczeń wyrażonych w prospekcie, z których nie wszystkie dotąd pozwoliły nam urzeczywistnić wedle pragnienia naszego i krótkość czasu i szczupłość miejsca.

W ubiegłym kwartale zdołaliśmy wykonać część tylko naszego obszernego programu. Daliśmy prace **Asnyka, Bogusławskiego, Chmielowskiego, Gubernatisa, Koźmiana, Kraszewskiego, Kaszewskiego, Karasowskiego, Kleczyńskiego, Gawalewicza, Moszkowskiego, Urbańskiego, Czapelskiego, W. Szymanowskiego, Tretiaka, Grossa** (feljetonisty wiedeńskiego), **Lubowskiego, Hajoty, Rząźewskiego, Sarneckiego, Zawadzkiego** i innych, oraz pomieściliśmy utwory muzyczne **Paderewskiego, Straussa, Moszkowskiego, Saureta, Liszta, Weklego** i innych, a nie wyczerpaliśmy jeszcze teki redakcyjnej, zaopatrzonej w prace poważne, powieści, poezye, utwory dramatyczne, oraz kompozycye muzyczne wszelkiego rodzaju.

W przyszłym zatem kwartale drukować będziemy w dalszym ciągu cykl rozpoczętej **galeryi współczesnych autorów dramatycznych** (z portret.), kreślonych piórem celniejszych krytyków, monografie historyczno-literackie z niwy rodzinnego dramatu od XVI do XVIII wieku d-ra Piotra Chmielowskiego, historyę teatru lwowskiego i krakowskiego pióra **Sarneckiego**, szereg studyów monograficznych o teatrze warszawskim, cykl studyów o współczesnym stanie literatury dramatycznej i muzycznej w Europie, rozprawkę o naszej literaturze dramatycznej, artykuł o urządzeniach instytucyj muzycznych i teatrów; rozpoczniemy też wkrótce druk listów o literaturze i sztuce niemieckiej pióra Pawła Lindaua. Sprawozdanie z ruchu muzycznego i teatralnego Włoch pisywać będzie pozyskany przez nas znakomity krytyk medyolański Aldo de Noceda.

W dziale muzycznym zamieścimy obok wielu innych studya z pola estetyki muzycznej **Liszta, Hanslicka, Hericourta, Laugela, Ehrlicha, Carriere'a, Breckego, Helmholtza, Bieserny** i innych, tudzież **portretową galeryę najcelniejszych muzyków ostatniej doby.** Szczególniejszą wogóle troskliwość poświęcimy działowi muzycznemu w naszem piśmie, który z powodu natłoku przedmiotów bieżących dotąd wedle założenia naszego nie mógł się należycie rozwinąć.

DODATEK NUT

pomieszczać będzie i nadal utwory poważniejsze obok lżejszych na fortepian, skrzypce lub do śpiewu. Pilnie baczyć będziemy na to, ażeby niezwłocznie wcielać do naszego repertuaru, utwory i rzeczy współcześnie używające rozgłosu w Europie. Oprócz utworów poważnych i oryginalnych, damy fantazye z oper wystawionych w ostatnim sezonie we Włoszech i Paryżu. Na karnawał zaś mamy przygotowane tańce z motywów ulubionych operet Bernicata, Vasseura, Audrana i innych.

W fejletonie rozpoczynamy druk „Dowmunda“ nowelli **I. J. Kraszewskiego,** „Barkarolli“ **M. Gawalewicza,** oraz obszerniejszych nowelli **Bolesława Prusa, Henryka Sienkiewicza, Elizy Orzeszkowej, T. T. Jeża, Jana Lama, Edwarda Lubowskiego, Michała Bałuckiego, J. Blizińskiego i Hajoty.** Przez pomieszczenie utworów dramatycznych jednoaktowych wzb[illegible] ubogi dotąd repertuar teatrów amatorskich, [illegible] pożądaną nowością zwłaszcza dla kół towa[illegible] na prowincyi.

Illustrować będziemy grupy sceniczne [illegible] szych sztuk nowych u nas i zagranicą, portre[illegible] czesnych artystów, muzyków i pisarzy. Zam[illegible] również będziemy głosy celniejszych artyst[illegible] tystek z autografami.

Rocznik „Echa Muz. i Teatr.“ uczyni około 80 arkuszy druku, przeszło 100 illustracyi i 52 ark[illegible]

Warunki prenumeraty w Warszawie (rocznie z odnoszeniem do domu) **kwartalnie Rubli 2, półrocznie Rubli 4, rocznie R[illegible]**
Na prowincyi i w Cesarstwie kwa[illegible] Rs. 2. kop. 50, półrocznie Rubli 5, rocznie Rubli 10.

Abonenci składający w kantorze wydawnictwa (Senatorska 18,) przedpłatę na rok **cały** otrzymują

PREMIUM BEZPŁATNE

złożone z 6 wielkich (poczwórnego gabinetowego formatu) portretów fotografic[illegible] (wielkości 25 × 32 centm.) następujących znakomitości:

1. Helena Modrzejewska, 2. Adelina Patti, 3. Henryk Sienkiewicz, 4. Arrigo Boito, 5. Aloizy Żółkowski, 6. Edward Pailleron.

Portrety te stanowić mogą ozdobę albumów w oddzielnych okładkach lub [illegible] gabinetów.

Abonenci prowincyonalni, chcąc o[illegible] mać premium bezpłatne, raczą na k[illegible] opakowania i przesyłki: dołączyć do p[illegible] meraty **kopiejek 50.**

Adres Redakcyi: Warszawa Senatorsk[illegible] przy Biurze Ogłoszeń firmy Rajchman i F[illegible] dler.

Szan. abonentów w Warszawie [illegible] prowincyi upraszamy o natychmias[illegible] doniesienie nam o każdem opóźnieni[illegible] nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze [illegible] sylane jest w Warszawie w sob[illegible] niedzielę każdego tygodnia, na po[illegible] zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Декабря 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochow[illegible]